



SYRENA



TYGODNIK WOLNYCH POLAKOW — HEBDOMADAIRE DES POLONAIS LIBRES

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
20, rue Legendre, 20 — PARIS (17)
Métro: Villiers Tel.: WAG 00-45

ROK XI — Nr 35/36 (490/491)
7 WRZESNIA — 7 SEPTEMBRE 1957

CENA
PRIX 45 fr.

RYSZARD WRAGA

Rozczarowania i pytania bez odpowiedzi

PRZYNAJĘ — z największym zdziwieniem przeczytałem w warszawskiej „Nowej Kulturze”, że wydany ostatnio w Paryżu przez Instytut Literacki „Dziennik” Witolda Gombrowicza — „to jedna z najinteligentniejszych książek polskich, jakie ukazały się po wojnie”. Gdybyż bodaj było napisane: „jakie ukazały się po wojnie na emigracji” — pomyślałbym, że jest to kolejne warszawskie wygłupianie się na temat emigracji, ale tak — w ogóle po wojnie! No, no! Inteligencja należy wprawdzie do pojęć względnych, lecz chyba nie do tego stopnia.

Nie pisałbym o Gombrowiczu, którego na emigracji i tak nikt poza amatorami robaczywych serów nie czyta, gdyby nie ten entuzjazm „Nowej Kultury”. Po zastanowieniu przyszedłem jednak do przekonania, że jest on — do pewnego stopnia — logiczny i konsekwentny.

Prasa warszawska pisze wiele o wrażeniach i opiniach Polaków z Kraju, którzy zetknęli się z emigracją. Jak wiemy — było ich tysiące. Jeżeli pominiemy opinie „oficjalne”, to jest opinia partii, rządu czy Bezpieki, a więc opinia tendencyjne i mające służyć konkretnym celom dywersyjnym, to — trzeba

przynajmniej — że na ogół wrażenia naszych rodaków o emigracji nie są nadzwyczajne. Przeważa rozczarowanie.

Wieloletnia oficjalna nagonka na emigrację, poźworna sytuacja i beznadziejność, w jakiej znajdował się naród, wyolbrzymiły w oczach społeczeństwa w Kraju rolę i zadania emigracji. Postawiono jej wiele wymagań, zgoda niepełnych czy nawet zbędnych, oceniano jej możliwości w uroszonych kryteriach historycznych, idealizowano, przeceniano. Rezultat — rozczarowanie.

To zaś, co w tej emigracji zaimponowało: jej zdolność samozachowawcza, zaradność i przedsiębiorczość, względny dobrobyt materialny, nie powinny nas znów tak bardzo wbić w dumę. To dopiero podstawa dla zasadniczych wartości, ale to nie może wyczerpywać ani sensu jej istnienia ani jej zadań.

Trzeba przynajmniej, zresztą, że emigracja w masie bardzo ucziwie poddawała siebie i swoje sprawy własnej krytyce (omal że nie napisano okropnego słowa — „samokrytyce”). Poza nieliczną grupką chodzących w obłokach zawodowych polityków, ogół emigracji, jej publicystyka w pierwszym rzędzie — otwarcie i szczerze wytykała błędy, ułomności i przewiny emigracyjne. Warszawskie szczekaczki komunistyczne nie miały wiele do roboty: powtarzały po prostu „rewelacje” prasy emigracyjnej. Rezultat był znamienny: emigracja wiedziała, że to prawda i usiłowała wyciągnąć z tego wnioski, a „kraj” — kraj przeważnie nie wierzył i przeważnie idealizował emigrację, przypisując jej Bóg wie jakie możliwości cudotwórcze.

Rezultat — rozczarowanie. Osobiście jestem optymistą w tej dziedzinie. Myślę, że rozczarowanie to wyjdzie na dobre dla obu stron. Emigracja — niestety — nie kończy się na nas. Daj Boże, żeby skończyła się na nas. Daj Boże, żeby skończyła się na nas. Daj Boże, żeby skończyła się na nas.

czyła się na naszych synach i córkach, a nie na wnukach. I te następne pokolenia powinny być — i na pewno będą — mądrzejsze i sprawniejsze od nas w służbie narodowej.

Gdy tyle powiedziano i napisano w Kraju o wrażeniach „krajowców” o emigracji, myślę, że nie będzie od rzeczy powiedzieć coś niecoś i o naszych wrażeniach i sposobach wrażeń. Jest to ogromnie trudne i myślę, że prawie nigdy nie będzie obiektywne. Większość spotkań na szczytach owiana jest taką gamą najgłębszych wrzesań osobistych, jest sumą tak najbardziej osobistych

Dokończenie na str. 2-giej

WITOLD NOWOSAD

Adenauer czy skok w nieznane?

WYBORY do parlamentu związkowego (Bundestag) w Niemczech Zachodnich czyli w Niemieckiej Republice Federalnej dn. 15 września 1957 r. posiadają duże znaczenie polityczne nie tylko dla narodu niemieckiego, lecz także dla sąsiadów Niemiec i dla całej Europy. Wynik ich będzie odpowiednio ważony i oceniany w Waszyngtonie i w Moskwie; ze sprawą przyszłej polityki niemieckiej i zjednoczenia Niemiec, jednej z podstawowych spraw w problemach międzynarodowych, łączy się kwestia wojny lub pokoju.

Polakowi, który wciąż patrzy słusznie na niemieckie państwo i na niemiecki naród jako na potencjalnego groźnego przeciwnika (choć może się to zmienić nawet w stosunkowo bliskiej przyszłości, jeśli Niemcy będą istotnie rozsądni) — jest dość trudno spojrzeć na sprawę niemiecką oczyma Niemców. Trzeba wszakże starać się tak właśnie, bez polskiej namietności jakże uzasadnionej przez pamięć tylu zbrodni niemieckich — popatrzyć na wybory, jeśli chcemy zrozumieć, o co toczy się gra nad Renem, w Bawarii, czy w Hamburgu.

Czym były Niemcy Zachodnie we wrześniu 1949 r., gdy sędziwy już burmistrz Kolonii — dr Konrad Adenauer obejmował władzę w wyniku pierwszych istotnych wolnych wy-

Wrzesień

B.D.I.C

MIESIĄC wrzesień 1939 roku będzie — może przez wiele setek lat — przedmiotem pilnych badań historyków, polityków i moralistów. Doniosłe wydarzenia, które ten miesiąc wypełniły, pozwalają bowiem wyciągnąć olbrzymią ilość nauk, zarówno natury czysto praktycznej, jak i ideowej, światopoglądowej.

Niektóre z nich można wyraźnie sformułować już dzisiaj.

Nie doszłoby do brutalnego zaatakowania Polski przez Hitlera w dniu 1 września 1939, gdyby nie zachęcił go świadomy podżegacz wojenny, Stalin, zawierając z Niemcami, w dniu 23 sierpnia, zbrodniczą umowę, znaną jako „pakt Ribbentrop — Molotow”.

Nie doszłoby do niego również gdyby mocarstwa zachodnie zajęły w decydujących chwilach mocną, a niedwuznaczną postawę.

Polska nie poniosłaby klęski, gdyby Zachód od razu potraktował wojnę jako kwestię życia i śmierci całej europejskiej cywilizacji i idei wolności jako takiej.

Polska nie poniosłaby klęski, gdyby Sowiety nie zadały jej, w dniu 17 września, zdradzieckiego pchnięcia nożem w plecy.

I wniosek ostatni: Polska — jedna tylko — postąpiła, w tym tragicznym wrześniu — całkowicie zgodnie z wymogami honoru, z poczuciem odpowiedzialności za ogólnoludzką idealność.

Ona jedna — może bez trwogi oczekiwać na ostateczny wyrok Historii.

W. J.

HENRYK SZCZURKIEWICZ

KOŚCIÓŁ I PAŃSTWO

(OD WŁASNEGO KORESPONDENTA „SYRENY”)

POZNAŃ, W SIERPNIU

WYDARZENIA październikowe minionego roku bezspornie poprawiły sytuację Kościoła w Polsce. Uwolnienie Kardynała Wyszyńskiego, zezwolenie partii na ponowne wprowadzenie nauczania religii do szkół, poniechanie, przynajmniej częściowe, wywierania nacisku światopoglądowego na młodzież studującą, wreszcie dopuszczenie do głosu tych grup katolickich działaczy, które w minionym okresie głos ten utraciły — oto rezultaty nowej polityki wyznaniowej, zainaugurowanej w październiku przez partię, czy też raczej przez tę grupę kierownictwa partyjnego, która wówczas opanowała sytuację w Kraju.

Nie można jednak zapominać o rzeczy zasadniczej, a mianowicie o warunkowaniu taktycznym nowej polityki partii wobec Kościoła. Poprawa sytuacji Kościoła w Polsce była w dużej mierze wypadkową ścierających się sił, i to zarówno partyjno-politycznych, jak i ogólnospołecznych. Jest rzeczą zgoła niestosowną kojarzyć tą politykę wyłącznie z nazwiskiem Gomułki. Przypuszczeniu temu, dość rozpowszechnionemu, zwłaszcza wśród naszej emigracji, przeczy fakt, iż za naprawieniem stosunków Państwo-Kościół opowiedziały się elementy partyjne, które nie zupełnie aprobowają ogólny program Gomułki, zaś w minionym okresie prowadziły intensywną walkę z światopoglądem religijnym.

Katolicyzm w Polsce jest siłą pierwszorzędną i warto się było pokusić, by znaleźć w niej oparcie. Stwierdzenie to ilustruje bardzo wyraźnie działalność grupy „Po prostu”. Grupa ta w okresie przed październikowym stanowią bodaj awangardową siłę antyreligijną, a na łamach wydawanego przez nią tygodnika zamieszczane były najdawniejsze artykuły godzące w Kościół i światopogląd spirytualistyczny. W okresie październikowym i bezpośrednio poprzedzającym grupą ta zmieniła nagle taktykę wychwalając zasadę wolnej dyskusji, a nawet bratając się z dość naiwnymi

pod względem politycznym ludźmi z „Tygodnika Powszechnego”. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż szybkie ukazanie się „Tygodnika Powszechnego” było w większym stopniu rezultatem protekcji Zambrowskiego, aniżeli silnie związanego z Gomułką Rieńkowskiego.

Jest jeszcze za wcześnie, by kusić się na rozszyfrowanie całej gestywności tendencji i posunięć taktycznych, które składały się na tak zw. „polski październik”, oddziaływując zarazem na sytuację Kościoła. Jedno jest jasne, a mianowicie to, iż poprawa sytuacji Kościoła w Polsce, uwarunkowana względami taktyki partyjno-politycznej, nie może być zaliczona do rzędu faktów trwałych. Tak jak w październiku wewnętrzny układ sił politycznych dyktował pewne złagodzenie w stosunkach Państwo-Kościół, tak nowy układ tych sił, który może zaistnieć w każdej chwili, może doprowadzić do zaostrenia tych stosun-

Dokończenie na str. 2-giej

TADEUSZ NORWID

ZSSR CHCE OPANOWAĆ BAŁTYK

STOCKHOLM, SIERPIEŃ

(Korespondencja własna „Syreny”)

WYSIŁKI sowieckie w kierunku zamknięcia Bałtyku w „morze pokojowe” są coraz intensywniejsze. Kampania to rozpoczęła się już w czerwcu w czasie wizyty Bułganina i Chruszczewa w Finlandii kiedy obaj ci panowie dali do zrozumienia rządowi fińskiemu, że zagadnienie neutralizacji Bałtyku powinno być ponownie zaktualizowane. Nie trzeba było długo czekać na ciąg dalszy. W kilka tygodni potem reżym warszawski wystąpił z deklaracją, że „Bałtyk winien służyć sprawom Pokoju”. W ten sposób cały problem został wyciągnięty na arenę międzynarodową.

W krótko po oświadczeniu Warszawy, które przecież nie mogło być poddyktowane interesami Polski (morze

pokoju — morze kontrolowane przez Sowiety), zabrał głos kieszonkowy Stalin Wschodnich Niemiec — Ulbricht. Ten też się domagał, aby Bałtyk służył sprawie pokoju, co najłatwiej można osiągnąć przez neutralizację jego obszaru.

Po tych preludivach uznano w Moskwie, że już czas, aby Sowiety same zabrały głos w tej sprawie. W czasie ostatniej wizyty Chruszczewa i Mikołajana we wschodnich Niemczech wygłoszona została przez niego w wpływowskiej Mikołajana wielka mowa w Sassinitz. Z mowy tej wynikało, że największym pragnieniem Sowietów jest zamknięcie Bałtyku w „ogniwo łączące Sowiety z innymi krajami na jego wybrzeżach”. W wytworzonej przez Mikołajana mowa zna czyło to po prostu, że Oeresund, stanowiąc wyjście z Bałtyku na ocean, powinien być zamknięty dla ruchu międzynarodowego, sam zaś Bałtyk oddany pod kontrolę floty sowieckiej. Postulaty Mikołajana znalazły pochlebne miejsce we wspólnym komunikacie sowiecko-wschodnio-niemieckim, podpisanym przez Chruszczewa i Ulbrichta przed odjazdem delegacji sowieckiej. W komunikacie tym Sowiety występują w charakterze wysokiej instancji, która bezinteresownie popiera słuszne żądania Polski i Niemiec Wschodnich i zaleca wszystkim państwom graniczącym z Bałtykiem ostateczne dojdzie do porozumienia w sprawie neutralizacji Bałtyku. Porozumienie to leży, według słów komunikatu, w interesie „wszystkich” tych państw, t.j. także i skandynawskich.

Cały ten ustęp komunikatu jest utrzymany w tonie świętoszkowatej hypokryzji; można by sądzić, że Sowietom chodzi głównie o to, aby państwa przybałtyckie uzgodniły swoje poglądy co do wzajemnej współpracy w dziedzinie ratownictwa morskiego i rybołówstwa na Bałtyku. Ale złudzenia takie od razu rozwiała nowa mowa Ulbrichta, wygłoszona po odjeździe dygnitarzy sowieckich z Ber-

lina. Ulbricht mówił już wyraźnie o potrzebie stworzenia systemu wzajemnego bezpieczeństwa na Bałtyku używając niedwuznacznych terminów polityczno-wojskowych. Po tej mowie nie można mieć wątpliwości, że Sowiety podjęły na serio nową próbę zamknięcia wód Bałtyku dla mocarstw zachodnich, przez ogłoszenie tych wód za obszar zneutralizowany i leżący w obszarze dominujących wpływów sowieckich. W praktyce chodzi jednak o coś jeszcze innego: o nie wpuszczenie nowopowstającej floty zachodnich Niemiec na Bałtyk.

Długie ramię propagandy i wpływów sowieckich zaczęło operować w stolicach państw skandynawskich natchmianem po puszczeniu farby przez Ulbrichta. Na pierwszy ogień poszedł

Dokończenie na str. 2-giej

Dr MARYA KASTERSKA

Sto pięćdziesiąt lat temu

LATO 1807 r., znojne i krwawe lato dla Polski, dla Francji, dla Prus, dla Rosji. Tego lata kończy się rozpoczęta w 1806 r. wojna przeciw Prusom, wspomaganą przez rosyjskiego alianta, kończy się zwycięstwem Napoleona pod Friedlandem.

W wojnie biorą udział po raz pierwszy od rozbioru Polski, oficjalnie i na własnej ziemi, wojska Polskie. Są bardzo różnorodne. Byli legionieści z włoskich Legionów Dąbrowskiego, młodzi rekruci i oficerowie spod trzech zaborów, wreszcie coś naksztalt polskiego ruszenia dawniej polski królewskiej. W Warszawie już w styczniu 1807 r. stworzono komisję prowizoryczną, mającą chwilowo rządzić krajem i organizować tereny odebrane Prusom, Ministrem Wojny w komisji został ksiądz Józef Poniatowski.

Nie przyszło to łatwe i od razu. Najpierw sam on wahał się, czy ma prawo stanąć po stronie Napoleona. W rozmowach swych z Murat'em, szwagrem cesarza, rycerskim i przychylnym Polakom, ksiądz Józef otwar-

cie wyznał, że gotów jest poświęcić się dla sprawy polskiej i oddać za nią życie, lecz chciałby mieć jakieś gwarancje, iż sprawa ta mieć będzie i w Napoleonie stałego obrońcę. Podobne stawianie warunków oburzyło Napoleona, którego w dodatku starali się uprzedzić do księcia liczni jego przeciwnicy wśród samych Polaków. Generał Dąbrowski, chociaż uważał, że jemu, jako niegdyś twórcy legionów, należy się miejsce woda nowej armii polskiej, zachowywał jednak pewną przywoitą miarę w zwalczaniu Poniatowskiego. Natomiast generał Zajęczek, odważny oficer, lecz człowiek bez charakteru, ambitny i zazdrośny, nie przebiegał w środkach: intrygi, potwarze, sznykany, wszystko było mu równie dobre. Rewolucjonista-jakobin, bonapartista, wreszcie „ksiądz” z łaski cara i carski namiestnik, Zajęczek był moralnym kameleonem, zmieniającym barwę stosownie do okoliczności i do korzyści.

Dla księcia Józefa była to chwila przełomowa i decydująca. Musiał al-

Dokończenie na str. 5-tej

Groźna przestroga

WIADOMOSC o strajku tramwajarzy i kierowców autobusów w Łodzi, jaki miał miejsce w dniach od 12 do 14 sierpnia, odbiła się szerokim echem nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Podobnie jak w Poznaniu, głodowe pensje zmusiły robotników do demonstracyjnego porzucenia pracy. Około 10 tysięcy osób brało udział w tej demonstracji. Obok sił policyjnych miejscowych trzeba było użyć rezerwy policyjnej, sprowadzonej z Warszawy, dla złamania strajkujących. Użyte były podobno gazy łzawiące, pałki policyjne i strumienie wody przeciwko opornym.

„W warunkach państwa socjalistycznego, które jest państwem klasy robotniczej i ludu pracującego, strajk jest zawsze określonym sygnałem. Sygnalizuje on albo jakieś schorzenie w funkcjonowaniu administracji, albo działalność elementów wchryzycielskich lub wrogich władzy ludowej” — powiedział Gomułka na IX Plenum w maju br. Od czasu Poznania, Łódź jest drugim, powszechnie dostrzeżonym sygnałem alarmu. Ale w międzyczasy miały miejsce strajki i w

innych miastach Polski: strajkowali robotnicy w Warszawie, w Bydgoszczy i w Nowej Hucie. W miesiącu maju br. organy prasy komunistycznej doniosły o „zajściach chłopskich” we wsiach „różnych województw” Polski. Wszystkie te zaburzenia powstały na podłożu ekonomicznym i świadczą, że administracja źle gospodaruje i że warunki życia są nie do zniesienia. Odpowiedzialność za krwawe wypadki poznańskie spada całkowicie na „stalinowców”, wszystkie inne obowiązują już rządy Gomułki i Cyrankiewicza, które w październiku ub. roku poparły robotników, spodziewając się poprawy bytu.

Przedstawiciel rządu, pertraktując ze strajkującymi w Łodzi, nie wiele im miał do zaofiarowania, zastąpił się ogólnonarodowymi trudnościami ekonomicznymi. Powstaje pytanie, czy wezwaniem do cierpliwości i strachu przed milicją można na długi okres czasu powstrzymać robotników przed nowym wyjściem na ulicę. Wypadki w Łodzi są pod tym względem groźną przestroga dla reżymu Gomułki. (FEP)

Dokończenie na str. 5-tej

W. J. G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

WILCZE JAGODY

OKOŁO dziesiątego września rozpoczyna się sesja zwyczajna Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych. Pierwszym punktem, już zgłoszonym na porządek dzienny, jest rozpatrzenie obszernego raportu opracowanego przez komisję specjalną dla zbadania sprawy węgierskiej.

Pomimo upływu wielu miesięcy temat ten zachował dla polityki sowieckiej całkowitą aktualność. Cios zadany przez bohaterki zryw Węgrów sprawie komunizmu na forum międzynarodowym i na terenie Europy ujarzmionej był zbyt silny, aby go można było łatwo odrobić i wynikające z niego konsekwencje zlikwidować. Ujawnienie faktu, że mimo z górą dziesięciolecie zabiegów, komunizm daje się utrzymać tylko przemocą — było głębszym wstrząsem dla obserwatorów bezstronnych, sympatyków i oportunistów.

Dla odrobienia lub przynajmniej osłabienia wymowy tego faktu poświęcone zostały liczne wizyty Kremla wśród satelitów. Uzyskały one sukces pozorowy mocniejszy w wypadku komunistów czeskich i wschodnio-niemieckich, słabszy gdzieindziej.

Ponowne otwarcie całej sprawy, i to w chwili, kiedy przeprowadzeniem linii kolejowej szerokotorowej aż do Budapesztu Sowiety gruntują swoją przemoc militarną w basenie Dunaju — jest im jak najbardziej nie na rękę.

Toteż słusność ma ponoć sekretarz stanu Dulles, gdy podkreśla ścisły związek taktyki Kremla w zakresie polityki rozbrojenia, przechwałek na temat pocisków międzykontynentalnych i intryg w Syrii ze sprawą węgierską. Jest rzeczą nie tylko możliwą, ale prawdopodobną, że Sowiety poszukują obecnie gotątkowo atutów do handlowych wymiennych, którymi można by złagodzić i osłabić reakcję świata wolnego na sprawę poniewolenia Węgier. Na razie, mają do czynienia z trzema takimi tematami, ale do połowy września może ich się pojawić więcej. W każdym razie zwraca uwagę zupełnie swoisty sposób traktowania obecnie tych spraw przez polityków Kremla.

W zakresie bezkresnych sporów o politykę rozbrojenia taktyka komunistyczna zdążyła przede wszystkim do możliwych osiągnięć propagandowych i do poróżnienia sojuszników zachodnich pomiędzy sobą. Przedstawiciele mocarstw anglosaskich liczyli się w nie mniejszej mierze z efektem propagandowym rokowań, i sprawa wybuchów doświadczalnych, rozlewnych po świecie wysocy trujące wapory, stała się na czas pewien zagadnieniem kluczowym. Postawiano się pomniejszyć jego wagę obietnicą „czystych” wybuchów, Sowietom zaś zaproponowano zgodę na ich projekt przerwania doświadczzeń pod warunkiem przeprowadzenia ścisłej kontroli produkcji broni atomowych.

W samym końcu sierpnia przed stawiciele St. Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji i Kanady, jako członkowie pod-komitetu rozbrojenia, doręczyli swemu koledze sowieckiemu wspólny ogólnikowo ujęty projekt rozwiązania zagadnienia. Ze strony Kremla powitano ten projekt bardzo nieprzychylnie, ale mimo to naczelny delegat amerykański, Stassen, wierzy niezłomnie, że ta pierwsza, ujemna reakcja nie należy się zbyt prędko, bo łatwo stać się może, że Sowiety zmienią swoje stanowisko. Wolno sądzić, że przebieg sprawy węgierskiej w O.N.Z. będzie tu miał wpływ znaczny.

Niezmierny hałas reklamowy uczyniły Sowiety dokoła eksperymentowanego przez siebie pocisku o dalekim zasięgu. W piśmie „Sowietskaja awiacja” gen. Pokrowskij twierdzi, że wypróbowany ostatnio pocisk kierowany osiąga wysokość 1.000 kilometrów i uderza w cel z szybkością 25.000 kilometrów na godzinę. Możliwe odchylenie na odległość wielu tysięcy kilometrów nie może przekraczać 10 do 20 kilometrów. Wobec posiadanej przez pocisk wodorowej głowicy, zapewnia to zupełne zniszczenie każdego wyznaczonego celu.

Ze strony Zachodu miarodajnie odpowiadał na te przechwałki gen. Norstad, głównodowodzący siłami Atlantyckiej Wspólnoty Obronnej. Konstatując, że rewelacje sowieckie nie stanowią żadnej niespodzianki, podkreślił jednocześnie, że do stadium konstruowania prototypu do wytwarzania pocisków nadających się do praktycznego użytku droga jest jeszcze bardzo daleka. Na razie więc, dzięki wyższości swego lotnictwa i zaawansowanej produkcji pocisków o średnim zasięgu, Zachód zachowuje całkowicie swoją przewagę obronną. Co jednak gen. Norstada najbardziej zastanawia, to pytanie, dlaczego Sowiety dziś właśnie chwają się tak rozgłoszone naturalnym postępem technicznym, nie mającym na razie żadnego bezpośredniego wojskowego znaczenia. Metody analogiczne zastosowały Sowiety dwa razy już w przeszłości, potrzaskując bombą wodorową dla odstraszenia Niemiec zachodnich od sojuszu atlantyckiego i w kryzysie Suez. Za każdym razem bezskutecznie. Gen. Norstad przypuszcza, że i tym ra-

zem nie będzie inaczej.

Dalszym przykładem taktyki dywersyjnej jest zachowanie się Kremla w epizodzie syryjskim. O penetrację głębszą na Bliski i Środkni Wschód trudno jest Sowietom zabiegać chociażby dlatego, że we wszystkich krajach arabskich bez wyjątku partie komunistyczne są zakazane. Działając z ukrycia, przejawiały one pewną aktywność, tylko w Syrii i Libanie. W Egipcie natomiast nastąpiło właśnie ostatnio aresztowanie i oddanie pod sąd wojenny osiemnastu komunistycznych działaczy. Na razie więc celem głównym polityki sowieckiej jest podniecanie istniejących konfliktów młodego nacjonalizmu arabskiego z Izraelem i dawnymi mocarstwami kolonialnymi. Hodowane w ten sposób owoce działalności Kremla nikt nie pożywa, ale wielu zatruci mogą. Są to typowe wilcze jagody. Czy znajdują się lekkomyślni?

Raz jeszcze miesiąc września przyniesie nam może wypadki godne uwagi, a przyniesie napewno obraz wysoce pouczającej międzynarodowej rozgrywki, do której Sowiety tak gorliwie się spობią.

W. J. G.

KOŚCIÓŁ I PAŃSTWO

Dokończenie ze str. 1-jej ków. Świadomość tej ewentualności dręczą zarówno przewidującą część kleru polskiego, jak i katolików świeckich.

Sytuacja wewnętrzna Kraju jest w dalszym ciągu wysoce skomplikowana i daleka od stanu stabilizacji. Zdać sobie z tego znakomicie sprawę Kardynał Wyszyński. Zaangażowana przez niego akcja „wewnętrznej sakralizacji Kościoła” w Polsce ma na celu zabezpieczenie wiary przed ewentualnym naciskiem.

Akcja ta zmierza do maksymalnego wzmocnienia moralnego zarówno duchowieństwa, jak i rzeszy wiernych, oraz do wyeliminowania z działalności Kościoła elementów polityki świeckiej. Po licznych doświadczeniach kardynał Wyszyński musiał uświadomić sobie, że w rzeczywistości, iż nie ma rzeczy bardziej niebezpiecznej dla interesów katolicyzmu polskiego nad mieszanie się w sprawy polityki państwowej. Takie lub inne zaangażowanie polityczne Kościoła może dać w rezultacie pewne doraźne korzyści, ale zarazem w przyszłości może się stać powodem do ataków. Zdać się, że tym należy tłumaczyć pewne oziębienie stosunku Prymasa do grupy „Tygodnika Powszechnego”, tym bardziej, że mafijny charakter tej grupy nie jest dlań tajemnicą. Trzeba dodać, iż najbardziej oddana kurii rzymskiej część kleru polskiego nieufnie spoziera w kierunku „Tygodnika Powszechnego”.

Należy przypuszczać, iż życzeniem Prymasa jest, by grupa ta ograniczyła się do pogłębiania kultury katolickiej w Polsce, wyrzekając się działalności politycznej, czy nawet półpolitycznej. Prymas zdaje sobie sprawę z tego, iż działalność polityczna tej grupy przedzie lub później wymknęłaby mu się spod kontroli i mogłaby mu przysporzyć trudności, których już dość piętzy się wokół niego.

Tego rodzaju postawa wobec spraw polityki świeckiej daje się szczególnie dostrzec u Prymasa od momentu jego powrotu z Rzymu.

Z wizytą kardynała Wyszyńskiego w Rzymie pozostaje w związku jeszcze jeden zasadniczy fakt, czy też raczej cały kompleks faktów. Otóż, kierownictwo partyjne łączyło z tą wizytą określone nadzieje. Spodziewało się mianowicie jakiegoś nieduzważnego aktu ze strony Rzymu w spra-

Ważnym sprawę najprostsza a pod stawowa: sprawę „odwilży”. Nasi przyjaciele, krewni, ukochani, najbliżsi, których nie widzieliśmy od lat, do których stęskniliśmy się do rozpacy, przyjeżdżają z uśmiechem na wychudłych twarzach; „życie stało się możliwe! można żyć, można oddychać, można mówić! narzeczcie!” itd., itd. I mimo woli ten stan „odwilży”, to „lepiej” to „lepiej” przyjmujemy jako coś bezwzględnie, jako stan rzeczy absolutnie pozytywny. Spada nam ciężar z serca, ustają nieodstępnie trapiące nas dotąd wyrzuty, że oto walkonimy się tu we względnym dobrobycie, podczas gdy oni tam... no, ale dziś — przecież sami nam mówią, że jest lepiej, że można żyć! Nie doszliśmy nawet jak następuje u nas zasadnicze przedstawienie w stosunku już nie tyle do „Kraju”, ile do reżymu. Z kategorii emigracji politycznej, bezwzględnej i nieprzejednanej przesuwamy nie do kategorii jakiejś nieokreślonej opozycji politycznej.

Zaczynamy wmawiać w siebie, że jako taka poczciwa „paczkowa” o pozycja może dokonać czegoś więcej, bardziej „przysłużyć się narodowi” niż emigracja rewolucyjna. Oportunistyczna polityka „współistnienia”, którą jeszcze wczoraj słusznie uważaliśmy za haniebny kryminal, wydaje się nam mądrą i „konstruktywną”. Zaczynamy szukać kompromisów, wykrętów i „rozwiązania”, które by usprawiedliwiały nasz oportunizm. Propaganda Zachodu, wygibasy brzydkoduchów, wreszcie robotki agentów i agencików do reszty uspokajają nasze sumienia. Zasypiamy błogo: „w Polsce jest nieźle, jutro będzie lepiej, a pojutrze zupełnie dobrze”. Rezultat — zamiast współpracować ze społeczeństwem w Kraju zaczynamy współpracować z reżymem. A o to tylko komunistom chodzi.

Wróćmy do rzeczy. Pomówmy o naszych wrazeniach ze spotkań i długich, dziwnych i nocnych rozmów z rodakami. Jeżeli odrzucimy całą stronę uczuciową i osobistą, to i my — musimy to stwierdzić — zmuszeni jesteśmy do zrewidowania naszego poglądu na społeczeństwo w Kraju. Nie są to bynajmniej zawody czy rozczarowania. Po prostu wiele spraw przedstawia się inaczej. Jest to temat zbyt obszerny i nie do wyczerpania w jednym artykule. Z tematu tego wyjmuję dwa zagadnienia.

Jedno — związane właśnie z Gombrowiczem. T.zw. „stalinowski” (w istocie — prawdziwie leninowsko-komunistyczny) okres literatury osiastego dziesięciolecia, okres owego stupajkowego „socialistycznego realizmu” spowodował u czytelników polskich ogromny głód do wszystkiego, co technicznie indywidualizm, niezależność, świeżość, buntownictwem przeciwko wszelkim kanonom, wszelkim szablonom. Zjawisko podobne było w Rosji w okresach bezpośrednio po obu rewolucjach 1905 i 1917. W literaturze rosyjskiej jawiło się wówczas moc misticzmu, symbolizmu i innych „izmów”.

Obok rzeczy ciekawych i znakomych rozplenili się natychmiast jeszcze gorsze szablony, pompacyjne bzdury i zwyczajne wyglupianie się, podawane jako „najnowsze poszukiwania” i „rewolucyjne zrywy”. Walono w Puskina i Tolstoja podobnie prostacko, jak dziś Gombrowicz wali w Sienkiewicza. Literatu-

ZSSR i Bałtyk

Dokończenie ze str. 1-jej Stockholm: stanowisko Szwecji, która nie tylko ma najdłuższe wybrzeże nad Bałtykiem, ale także wojskowo kontroluje Oeresund — jest dla sowieckich projektów decydujące. Organ szwedzkiej partii komunistycznej „Ny Dag” w Stockholmie przed kil Moskwy. Aluzje tego pisma do projektu sowieckiej szwedzkiej opinii publicznej: „Można sobie łatwo wyobrazić taką czy inną formę neutralizacji Bałtyku. Spacyfikowany i zneutralizowany Bałtyk niewątpliwie przyczyni się do zmniejszenia międzynarodowego napięcia... Inicjatywa Szwecji w tym kierunku byłaby zgodna z polityką zagraniczną naszego kraju, z lat ostatnich”.

„Ny Dag” w Szwecji jest traktowany przez najszerszą opinię jako wychodzący w języku szwedzkim organ Moskwy. Auże teg o pisma do projektów neutralizacji Bałtyku i zamknięcia Oeresundu spotkały się z b. lodowatą odprawą całej szwedzkiej pr. sy demokratycznej, bez względu na jej zabarwienie partyjne. Jednym z najważniejszych fundamentów politycz-

nych i strategicznych szwedzkiej polityki neutralności zbrojnej jest panowanie nad cieśniną Oeresundu i swo boda manewru na Bałtyku. Szwecja nie należy do NATO, ale dwa graniczące z nią państwa nordyckie — Norwegia i Dania — należą do NATO. To są realia, z którymi najbardziej nawet neutralna polityka zagraniczna Szwecji musi się liczyć. Przystąpienie Szwecji do jakiegoś nowego porozumienia państw nadbałtyckich neutralizujących to morze w praktyce oznaczałoby nie tylko krok nieprzystający Szwecji w stosunku do mocarstw zachodnich, ale również byłoby równoznaczne z przemianą neutralnej Szwecji w bastion sowieckiego systemu strategicznego na północnym skrzydle ew. „frontu sowieckiego” ku Zachodowi. Ewentualność taka kryłaby w sobie neutralizowanie całego Nordu w wypadku wojny oraz kolosalnego „skrócenia frontu” dla Sowietów. W konsekwencji musiałyby niepomniernie wzrosnąć siła uderzeniowa sowieckiej armii w Europie i na Bliskim Wschodzie. Fakt, że wówczas granica szwedzko-norweska i duńsko-szwedzka byłaby jednocześnie strategiczną granicą bloku wschodniego — musiałyby mieć decydujący i negatywny wpływ na przynależność Danii i Norwegii do NATO. I to właśnie jest ostatecznym celem sowieckiej polityki neutralizacji Bałtyku. Dopóki wybrzeża Norwegii należą do zachodniego systemu obronnego i do póki los cieśnin Oeresundu nie jest rozstrzygnięty na korzyść Rosji — olbrzymia podwodna flota sowiecka ma dość ograniczone możliwości działania na oceanach świata w wypadku wojny.

Szwecja jest neutralna, ale sympatie jej stoją wyraźnie po stronie Zachodu, a nie Sowietów. Nikt z tym się tu nie kryje. Jest zatem wykluczone, by Szwedzi wystąpili z zalecaną jej przez Moskwę via „Ny Dag” inicjatywą w kierunku neutralizacji Bałtyku. Wykluczone jest również przystąpienie Szwecji, w jakiegokolwiek formie, do takiego porozumienia.

Na zakończenie kilka słów o roli inicjatywy polskiej w całej tej historii. Polska jeszcze mniej niż Szwecja jest zainteresowana w oddaniu Bałtyku pod kontrolę sowiecką. Wybrzeże Bałtyku dla Polski, weńniętej między Rosją i Niemcy — jest i pozostał otwartym oknem Polski na świat: pomostem do kontaktów z Zachodem. Reżym Gomułki, występując z tą inicjatywą, działał jak najbardziej wbrew istotnym i długofalowym interesom każdej Polski, bez względu na jej taki czy inny przejściowy ustrój. Nie wchodzimy w szczegóły. Wydaje się jednak, że skonstatowanie tego faktu — jest na czasie.

Tadeusz Norwid

POGRÓŻKI GOMUŁKI. CZY NOWY PROGRAM?

ZAINAUGUROWANE w dniu 17 sierpnia br. w Krakowie obchody 20 rocznicy strajku chłopskiego (z sierpnia 1937 r.) są w tym roku drugą większą imprezą reżymowych ludowców po czerwcowych obchodach Święta Ludowego. Jakkolwiek uroczystości z okazji strajku chłopskiego zorganizowano pod firmą t. zw. Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL), na centralnej akademii w Krakowie przewodniczył I sekretarz PZPR w tym okręgu, Lucjan Motyka, główne zaś przemówienie wygłosił Wł. Gomułka, a nie obecny na akademii prezes ZSL, Stefan Ignar.

W Krakowie, na drugi dzień, 18 sierpnia, w Koscinie Małej (pow. Limanowa) Wł. Gomułka wystąpił jako gorący protektor strajkujących 20 lat temu chłopów, ale jednocześnie przestrzegł „ludzi złej woli” oraz „elementy wrogie i warcholskie”, aby nie próbowały organizować strajków w Polsce rządzonej przez niego. Oświad-

czył on również, że polityka partii komunistycznej „to nie wiatrak na dachu”, że partia ma dosyć siły, a by „budować socjalizm wbrew wszystkim jego wrogom”, których, „gdy zanadto zechcą brykać — uspokoiemy”.

Pogróżki te nie wymagają dodatkowych komentarzy. Można je uważać za zapowiedź zaostrożenia kursu w Polsce, albo za nawrót do przedpadziernikowych metod rządzenia.

Innym zagadnieniem godnym zanotowania jest synteza Gomułki na temat strajków chłopskich w Polsce przedwojennej. Pod tym względem Gomułka nie różni się zupełnie od stalinistów, a nawet idzie dalej. Jaskrawym, ale nie jedynym przykładem tego jest jego stwierdzenie, że strajkujący 20 lat temu chłopci walczili o taką Polskę, jaką buduje dziś partia komunistyczna. Innym przykładem jest stwierdzenie Gomułki, że Wincenty Witos „nie posiadał programu co należy robić, aby było lepiej” w Polsce. „Programu takiego — według Gomułki — nie posiadaty też wszystkie inne działające wówczas legalnie partie polityczne”.

Z przykładów tych widać, ile warta jest prawdziwość Gomułki i jak głęboko tkwią w nim jeszcze stalinowskie kompleksy i nałogi.

(FEP)

„SYRENA”

w każdym polskim domu!

repełniło „niezrozumiałość”, a rosyjski egzystencjonalizm wyprzedził francuski o dobre lat trzydzięści. (Dziś gdy czyta się naszych domorosłych nihilistów ma się niekiedy wrażenie, że są to plagiaty z rosyjskich grafomanów tych czasów). Egoocentryzm i zwyczajne neurotyczne wynaturzenia stały się nudne, wypełniając literaturę i sztukę niezdrową erotyką, chamstwem i dziecinadą.

Wydaje się, że dziś Polska przeżywa taki sam okres. Czytelnicy w Polsce rzucają się na te wszystkie „izmy”, które były w okresie stalinowskim zakazane, może właśnie dlatego, że były zakazane. We Francji egzystencjonalizm jest już zapomnianym przeżytkiem; w Polsce pełni się w najgorszym, najtandetniejszym wydaniu.

Przybyłszy z Polski rzucają się na to wszystko, co jest „najnowsze”, i nie chcą zrozumieć, iż to „najnowsze”, jak każdy objaw kryzysu, którym Zachód jest objęty, przemija z wiatrem i jest bezplodne. Nie interesują ich te najistotniejsze, najprawdziwsze wartości Zachodu, które leżą u podstaw ogólnoludzkiej literatury. Wyzywają się w admiracji zachodniego nihilizmu. Możemy tygodnikami chodzić po muzeach Paryża czy Londynu, po bibliotekach, czytelniach — nie widzimy Polaków. Kiedy niekiedy, gdzie indziej sylwetka starszego pana, starszej pani czy specjalisty od sztuki, zawodowego uczonego czy literata. Gdyby rewie czy kabarety francuskie nie były takie drogie, widzielibyśmy zapewne tłumy admirujące jakże tandetny dziś kabaret francuski i już nie podkaszana lecz z goła rozmawiana mowa. Entuzjazm dla Gombrowicza nie jest przypadkowy. Drukowany w teście „Kulturze” głęboki i poważny, na prawdę inteligentny Hostowiec nie interesuje nikogo. Jest to oczywiście zjawisko przejściowe. Dekadencje wyżywania się przemianą z wiatrem, przyjdzie reakcja, ale... czasu szkoda. Nie wiadomo, jak wiele go jeszcze mamy przed sobą.

Druga sprawa — sprawa młodzieży. Tu znowu rzecz przedstawia się inaczej. Przyjeżdżają zgłodniali konkretnych wiadomości, konkretnych materiałów. Stracili zaufanie do wszystkich „kazionnych” formułek odnośnie socjalizmu, demokracji, komunizmu, we wszystkich dziedzinach życia, polityki, gospodarki. Chcą wiedzieć, pytają, szukają. Najczęściej szukają „materiałów do polskiej drogi do socjalizmu”. Pytają o wszystko: o Marksa i Bauera, o Kayzera i Bluma, o Sartre'a i Russela. Nie wiele umieją, jeszcze mniej wiedzą. Nie mają żadnej metody w podchodzeniu do wiedzy i zagadnień świata wolnego, są bezradni nawet w sprawach dialektyki materialistycznej. Opowiadają naiwne historyjki o stalinizmie nie wiedząc nic, lub prawie nic, o marksizmie i leninizmie. Poplątało się im słownictwo i te same słowa wyrażają różne pojęcia. Można o tym pisać całe tomy, ale nie o to chodzi. Chodzi o rzecz znacznie ważniejszą. Chodzi nie o to, że oni nie wiedzą i pytają. Chodzi o to, że nikt im na ich pytania nie potrafi odpowiedzieć, bo nikt tu w tej mierze takimi zagadnieniami nie interesuje się. Kogoż dziś — poza marksistami i komunistami — obchodzi Marks czy Engels, Ekonomista czy socjolog wie o nich tyle co przeciętny matematyk o Newtonie: był, powiedział to i to, a dzisiaj to ma taką i taką formę naukową czy praktyczną. Któż dziś na Zachodzie da wyczerpującą odpowiedź na temat demokracji? Wystarczy, że jest. Któż będzie się zajmował problemem „walki klasowej”, gdy przestała ona być już dawno czynnikiem głównym rozwoju i postępu. Zajmująca się tymi zagadnieniami literatura komunistyczna staje się coraz bardziej abstrakcyjna, zacofana i reakcyjna.

No, a my — emigracja? Cóż my jesteśmy w stanie na te pytania odpowiedzieć? Nie, albo tak dobrze, jak nie poza tandetną łatwizną, uproszczeniami i tanią demagogią. Jakże często nie potrafimy nawet uzasadnić naszego stanowiska, naszej postawy. Jakże straszliwie mści się na nas to, że postawę tą i stanowisko nasze opieraliśmy na wyczuciu (najszluszniejszym zresztą), na emocjach (najszlachetniejszych), a nie na wiedzy, na zrozumieniu, na bezustannym studiowaniu spraw i zjawisk.

Gadania (choćaby najuczciwsze) o Katyniu i okropieństwach łagrów, o terrorze sowieckim i przewartości Rosji nie wystarczą. Tu trzeba mówić do ludzi, którzy przeszli przez rzeczy być może gorsze od Katynia, bo zatruwając i zabijając powoli, miesiącami, latami. Tu trzeba wiedzieć. Nie przygotowano niczego i rozczarowania są obustronne: „my” zarzucamy „im”, że są tacy zacofani, że nie nie umieją, że są prowincjonalni (i to wszystko jest tylko częściowo słuszne!), a „oni”, „nam” — że nie nie umiemy, że niczego się nie nauczyliśmy i że nie znamy nawet tego świata, w którym się obracamy. I, niestety, w tym jest znacznie więcej racji niż przesady.

Ryszard Wraga

MIECZYSLAW LURCZYŃSKI

LEGENDA AVILI

BŁEKITNA czystość przelśnionego światłem powietrza. W jego głębi dziesiątki, setki jastrzębi kołujących nad miastem. Niby acrostaty z unieruchomionymi skrzydłami, wielkie ptaki zataczają bez przerwy kręgi o precyzyjnej, matematycznej dokładności rysunku. Na otwartej przestrzeni placu, z którego jednej strony ocienione arkadami domy wiodą ku wysokiej koronie obronnych murów, ma się uczucie bezbronności, wydania na łup krążącej, zaopatrzonej w potężne dzioby i szpony powietrznej flotyli korsarzy. Mimo woli drapieżność oglądane widoku przenosi się na smutne, nagie, kamieniami porośnięte wzgórze mesety. I na czarno ubranych, zaciętych milczących przechodniów o twarzach, na których walcząca o wolność i prawo do życia generacja wyrzeźbiła głębokie, nie do zatarcia cechy. Mieszkańcy miasta, ostrością „akwilinowych” nosów, chudością twarzy przypominają owe zawieszono w powietrzu, niezmordowane czy hające na łup jastrzębie. Oraz twarość podłoża skalnej płyty, na której najwyższym punkcie zbudowana została twierdza.

KAMIENNY klejnot Kastylji, Avila jest rzuconym na szczyt wzgórza naszyjnikiem złożonym z poszczególnych segmentów pereł-basz i wiążących je murów — sznurą nawlekającego perły, przy czym wbudowana w obręb wałów katedra stanowi złotą zapinkę klejnotu. Wnętrze naszyjnika — to właśnie stara część miasta, o charakterze przenikniętym popępną, milczącą torturą grzechu i mistyki. Dusze mieszkańców, na przemian wstrząsane pasjami świętości i upadku, stworzyły owe zaryglowane bramy, zakratowane okna i nagie z nieobrobionego ciosu mury pałaców, gdzie niegdzie ozdabia nych oszalemiaczącym kwiatem wybujałej w formach rzeźby.

Tak myślałem, przylądając się senioralnemu domowi rodziny markizów de las Navas. Szorstki kamień ścian, nie skazony polerunkiem ni obrzucony tynkiem, cechowała iście klasyczna surowość. Wejściowa brama, półkolista u góry, wbudowana była w rodzaj kamiennego wachlarza, jak ów z noweli Zeyera „Dom pod tonącą gwiazdą”. Surowość niegładzonego ciosu niespodziewanie miękką i pięknym uśmiechem prostokątą pła skorzysta o idyllicznej scenie, pełnej pasterzy, fletów i boginek. Stare akacje z krokodylo-popękaną skórą kory tuliły się do murów. Całość odzwierciedlała, być może, psychikę markiza Pedro de las Navas, gubernatora Avili z czasów renesansu, na którego polecenie siedzibę tę budowano.

Obszedłem narożnik domu. Wdrąając wzduł obronnych murów, dojrzałem do wzniesienia panującego nad krętym biegiem rzeki Adajo. Tam, błękitna w skutek oddalenia, widniała kaplica Los Cuatro Postes, chroniąca niezmiernie starą figurę drewnianego Chrystusa. Kształtem, materiałem tworzywa przypominała daszki budowane w Polsce nad wiejskimi studzienkami przez dbających o czystość wody wieśniaków.

Zastanawiałem się nad pewną zbieżnością tematów obu historyj. Tej w Łęczycy, bardziej legendarnej, o charakterze już anonimowym, sprwadzającej postaci od schematu typów, i owej z Avili — tchnącej indywidualizmem aktorów, bogatej w historyczne fakty oraz ich nasświetlenie. Szczegóły były odmienne, związane z charakterem ziemi i stylem egzystencji jej mieszkańców. Tu — miłość, drapieżna i głodna jak uprzywilejowane jastrzębie w lazurze powietrza; tam — ubóstwo i krzywda wyrządzona bezbronnej wdowie przez krwistego wielmożę. Lecz bez nadziei poszukiwania sprawiedliwości u ludzi, w jednym i drugim wypadku bezskuteczność zaziemijskiej interwencji, były cechami świadczącymi o uniwersalności idei, bijącej ze źródła najbardziej elementarnych podstaw psychiki człowieka jako gatunku.

Wracałem chaosem pokręconych wąskich uliczek, tak cichych i umarłych, iż odgłos mych kroków niemal sprawiał mi przykrość. Doszedłem do niedaleko senioralnego pałacu markizów de las Navas położonego domu „Pod Łabędziem”. Właścicielem jego za czasów Filipa II był don Tomas Luis de Velada, wdowiec i człowiek stary, mieszkający razem z piękną i, jak historia dowiedzie, dość lekko-myślną córką Magdaleną. Przjrzałem się siedzibie, obecnie zmuszającej, sypiącej się ruinie o wysuniętym mocno dachu i żelaznym balkonie, pełnym czerwieni róż i pelargonij. Łatwe zadanie miał don Ramon Nunez, gdy nocą udawał się do panińskiej komnaty pięknej Magdaleny.

Miłość młodych trwała kilka miesięcy, budząc wreszcie podejrzliwość ojca i szeptów sąsiadów. Spotkania w domu stały się niemożliwe. Niestety, typowe w Hiszpanii ubóstwo obojga młodych nie pozwalało na legalizację związku. Stąd powstała konieczność spotkania się na mieście lub też na zewnątrz jego obronnych murów.

Dzisiaj jest już niemożliwe odkryć podłoże motywów skłaniających młodego amanta do powzięcia decyzji wy-

jazdu na wojnę, niszczącą właśnie daleką Flandrię. Była to tylko potrzeba zdobycia niezbędnego do zawarcia małżeńskiego związku dostatku? Czy raczej podświadoma (a może świadoma?) chęć ucieczki od wymagającej pilnującej swych praw i niepomahowanej w miłości kobiety?

Owe zgodne czy sprzeczne interesy obojga kochanków na pewno leżały u podstawy umówienia wieczornego spotkania w Los Cuatro Postes, który w tym czasie nie posiadał jeszcze charakterystycznego okrywającego krzyż dachu na słupach. Bez ostrości, cierpiący od burz i deszczów hułających po kamienistej, nagiej jak piszczał ogrzyziony przez mrówki pustce, wyzynny Chrystus lepiej odpowiadał charakterowi ponurego krajobrazu skalistej Kastylji. I lepiej może ewentualnemu rozdarciu, jakie kryło się w uczuciach rozmawiającej pary kochanków. Dialog ów bowiem nie miał w sobie nic z afektacji uczuc jasniejszych w lirycznych wlotach stylistyki Romeo i Julietty.

— Don Ramon, — mówiła Magdalena — mój ojciec domyśla się wielu rzeczy. Uwaga mnie za szambioną. Nie pyta mnie o nic. Lecz gdy by spytał, powiem mu prawdę. Dlatego też przed wyjazdem twym do Flandrii chcę otrzymać od ciebie uroczyście obietnicę zaślubienia mnie po twym powrocie z wojny.

Don Ramon spoglądał na czarno ubraną kobietę o twarzy półzakrytej koronkami mantylli.

— Jutro — rzekł — opuszczam razem z oddziałem miasto. Po roku powrócę z wyprawą i, posiadając potrzebny dostatek, poprowadzę cię do ołtarza. Jeśli dziś masz prawo uważać, iż zbrudziłem twój honor, wiedz, że za rok oczyszczę go, przyjmując się za żonę. O ile, rzecz prosta, Bóg zachowa mi życie.

— Przysięgnij że spełnisz obietnicę.

— Nie wystarczy ci me słowo?

— Ramon, słowa unosi wiatr. Serce mężczyzny jest niestate.

— Jakżeś nieufna. Uwważaj, że przysięgam. Niech ci to wystarczy.

— Nie. Boję się roku samotności w Avili.

— Czegoż więc żądasz?

— Chcę, abys ukląkł u stóp tego Chrystusa. I chcę, abys zaprzysiągł mi obietnicę zostania mým mężem po powrocie z Flandrii.

Ramon wahał się. Słowo hidalga wystarczy, twierdził. Lecz upór szalejącej rozpaczą i trwoga kobiety zmusił go wreszcie do ukłęknięcia przed krzyżem, z którego zwisało, nie ma naturalnej wielkości, szerniałe od deszczów i pokryte zieloną pleśnią drewniane ciało Chrystusa.

Magdalena poleciała kochankowi położonych dwa palce na przeczitych gwoździach stopach Ukrzyżowanego. Don Ramon musiał pochylić się, stopy Chrystusa znajdowały się tuż nad ziemią.

— Ramon, przysięgasz poślubić mnie po twym powrocie? — spytała.

— Przysięgam — odpowiedział mężczyzna.

Był może księżyc i wiał zimny wiatr, jak wtedy, gdy wracałem po raz pierwszy ze wzniesienia, dokąd udałem się, by, romantyki, obejrzeć mury miasta zwlekające się na podobieństwo białej gąsienicy z błyszczących zielonych światłem nocą granitów kamiennego wzgórza.

PATRZĘ na księżycowy chaos zastylęgo na kamień morza. Słucham poszumu wiatru wstrząsającego karłowate krzaki dębów i jałowca. Wiem, niebawem wataha za watahą ciągnące niebem obłoki zroszą przelotnym deszczem nagą rozpacz skały. Nad horyzontem wielką potać firmamentu zajmuje groźną dalekimi pogromotami burza. W atramentowym fiolecie nieba błyskawice jej lśnią niby szpady tytanicznych szermierzy. Gdy czerni chmur nasunie zmierzchu na miasto, trzeba będzie w południe palić światło w pokoju. I słuchać monotonnego szumu ulewy chlupoczącej w rynnach, hałasującej w ściekach, lejającej się z otwartych pysków gargoł kościoła, spływającej strumykami wzdłuż stromo opadających ulic.

Patrzę na rozpacziwą martwość krajobrazu i myślę o donii Magdaleny. Rok czy dwa lata oczekiwania musiały stać się dla niej wiecznością. Samotna, wydana na łup szarpających sercem wątpliwości, na konieczność mieszkania pod wspólnym dachem z posępnie milczącym, domyślającym się wielu rzeczy ojcem, dni całe zapewne trawiła przy oknie, jak to robią dziś jeszcze pochylone nad szedłkiem czy płótnem młode dziewczyny po wsiach i miastach Hiszpanii. Czekając na pewno otaczają okrutne współzuciecz sąsiadów, żelaznymi grabiami ciekawości starających się dobrać do dna swojskie pojmanej prawdy, już z góry półśłówką litości zaopatrujących w trujące półuśmiechy. W małym miasteczku, gdzie usychające z braku pożytki, umierające w monotonii godzin spędzanych na szarej z nudów pracy, mają właściwości upiorów powracających z grobu: piją chętnie ludzką krew. Przypominam twarze, które zazwyczaj

spotykam wokół siebie. Myślę, że wszyscy ci ludzie, przedwcześnie postarzelisi od bezbarwnego codziennego wysiłku, powinni mieć, niby dantejskie postaci, palce rąk poogryzane do kości.

Któregoś wreszcie dnia wybija wielka godzina spełnienia. Właśnie z owego Los Cuatro Postes oczy Magdaleny dostrzegły małą, zagubioną w ogromnym krajobrazie grupkę pieszych i konnych sunących pogórzem, zagłębiających się w dolinę, na przełaj nagiach garbów sfałowanej mesety. Łachman sztandaru trzepoce na wietrze. Sylwety ludzi i zwierząt są czarne. W symboliczny sposób barwa owa odzwierciedla prawdę. Rok, dwa lata ludzkiej wojny z „diese Wassergesens” spłukały naloł humusu uczuć bardziej ludzkich, zdziżyły umysł don Ramona, odstaniając przedyluwalną nagą skałę instynktów bezpodnych jak kastyljska gleba.

Magdalena powraca do miasta. Przystaje w bramie, czeka. Otulona czarnym szalem żalobnie nasuniętym na głowę, z twarzą niemal ukrytą w jego fałdach, przeży się pod groźącym, już bliskim wyrokiem przeznaczenia. Serce, przecucia iberijskiej krwi, mówią, że nie będzie on radosny.

Pijana śpiewka żołnierzy. Kopyta końskie stukają po kamieniach. Ciężki jeździec w bramie. Za nim drugi, trzeci, później mur pieszych muszkietników.

Magdalena wyteża wzrok. Dostrzega znany kolet, ustrojony szeroką wstęgą kapitana. Miękki kapelus z pękiem piór, z diabelską fantazją przekrzywiony jest na lewe ucho. Żółte buty z cholewami sięgają daleko poza kolana. W mroku jaśnieje wąska błada twarz, której ostry poziom wąs otacza ciemnym łukiem czerwieni wargi. To on, to Ramon!

Magdalena wyciąga dlonie. Chwyta konia za uzdę. Niepomna wstydu, niepomna ostrożności, drapieżnie krzyczy prosto w twarz tej ucieleśnionej legendzie samotnych dni i nocy.

— To ty! Wróciłeś!

Lecz jeździec, w półmroku zalegającym bramę nieświadomy spotykającej go przeszłości, odchylił się do tyłu i na wpół do siebie, na wpół do towarzyszy mówi ze znużoną obojętnością przesyconego ławymi zwycięstwami piękniś:

— Na Belzebuba! Znowu jakaś kobieta. Zdecydowanie ściga mnie zła passa.

Magdalena wydaje krzyk, bez zmysłów upadając na ziemię. Koń kapitana, przestraszony, usiłuje stanąć deba. Jeden z jeźdźców, litościwszego serca, zeskakuje na ziemię, by za czepnąć w pobliskiej studni wody. Nieszczęśliwa, oacuona, czepiając się kamieni murów powraca samotnie do domu.

Z WIEDZIEM piękne patio budynku sądowego w Avili. Odnowiony i lśniący czystością gmach ten istniał już za czasów Karola V. Markiz Pedro de las Navas z racji swego tytułu gubernatora musiał tam codziennie urzędować, wypełniając trudne i odpowiedzialne czynności sędziego.

Stojąc u środku wysypanego żwirem podwórca wyobrażałem sobie obłąkany, poprzez patio, później po stopniach kamiennych schodów wiodących na półpiętro gdzie znajduje się sala sądu, bieg śmiertelnie ranionej kobiety. Widziałem ciekawe spojrzenia zbiorów. Dostrzegłem kamieniem nieruchomość siedzących pod ścianami, czarno ubranych wieśniaków z pobliskich pueblów. Później, będąc po korytarzach i salach, dojrzałem wyniosłą postać alcałdo siedzącego na okrytym skórą i obrzuconym dywanem rzeźbionym hiszpańskim karle. Słyszałem monotonny, cichy głos sądowego komornika referującego znajdującą się na wokedzie sprawę, brzęk usypiających w upale i kurzu much, ciche snucie nici przez zadomowionego między ramami portretów zapobiegliwego w pracy pająka.

Ten, tknięty różdżką snu, zamierający z wolna świat przeniknął nagle rozdzielający krzyk kobiety, która, przedarłszy się przez szeregi gapiów i znajdujących się w sali współczesniczących w codziennej pracy sądu urzędników i „stron”, upadła przed don Pedro na kolana i załamując ręce, wołała:

— Sprawiedliwości, panie! Sprawiedliwości!

Na sali powstał ruch. Błada twarz prosiącej, czerwone oczy, obłądny ich wyraz, wszystko mówiło o wielkiej uczynionej petencie krzywdy. Don Pedro de las Navas, słuchający rozważań nad subtelną kwestią jurystyczną, wstał i podniósłszy w pół omdlałą kobietę, usadowił ją na krześle. Uspokoiwszy płaczącą zapewnieniami, iż uczyni wszystko, co leży w jego mocy, by zadość stało się prawu, poprosił płaczącą, aby opowiedziała mu co ją przywiodło do sądu. Po pierwszych koniecznych wyjaśnieniach, gdy okazało się, iż rozchodzi się o złamanie przyrzeczenia małżeńskiego, zapytał przepędnoną wstędną kobietę, czy posiada świadków mogących potwierdzić prawdziwość jej oskarżenia.

— Żadnych — odpowiedziała biedna Magdalena zanosząc się od płaczu.

— Czy łamiący przyrzeczenie jest hidalgo?

— Tak. I kapitanem wojsk.

— Jeśli tak, jestem pewny, iż dotrzyma danej ongiś obietnicy. Jak się nazywa?

— Don Ramon Lopez Nunez.

Postano zbiorów, by natychmiast

sprawdzili oskarżonego. Oczekując rozwiązania niezwykle ciekawego dramatu, zgromadzeni w sali udzielali sobie wzajemnie szeptem informacji. Wszyscy znali aktorów tragedii. Świadomi obiegających od dawna plotek, kiwali głowami, wyrażając przekonanie, iż z góry przewidywali takie właśnie rozwiązanie gorszącej ich miłości.

Odnaleziony do domu don Ramon stał się natychmiast.

Sędzia przywiłił go poważnym skiniemieniem głowy.

— Czy znasz tu obecną donię Magdaleny de Velada, kapitanie?

— Tak. Od wielu już lat nawet.

— Czy obiecałeś ożenić się z nią po powrocie z Flandrii?

— Nie.

Odpowiedź wojskowego była zdecydowana, kończąc całkowicie sprawę.

Mimo to sędzia próbował dalszych upewnień:

— Na twój honor wojskowego i hidalgo?

— Na mój honor wojskowego i hidalgo.

— Biorąc Boga na świadka?

— Biorąc Boga na świadka — brzmiała jak echo odpowiedź.

— Wybacz, że cię trrudziłem, kapitanie. Jesteś wolny.

— On kłamie! — krzyczy Magdalena, załamując ręce w nagłym wybuchu rozpacz. Uśmieški zebranych przydają nowego ciężaru klęsce jej i hańbie.

— Kobieto! — oburza się sędzia. — Pomyśl co mówisz!

— On kłamie! Przysięgał mi wówczas ożenek!

— Czy masz świadków mogących potwierdzić prawdę twych słów? — głos don Pedro brzmi powstrzymywanym oburzeniem.

Skarżąc toczy wokoło bezzilnie oczami. Wzrok jej dostrzega zawieszoną na ścianie Ukrzyżowanego. Ręce opadają bezwładnie.

— Niesety, żadnego.

— Kapitanie, możesz odejść — powtarza don Pedro.

Don Ramon skłania się, odwraca, wychodzi. Ostrogci pobrzękują w takt kroków. Jest spokojny. Uśmiecha się nawet. Gdyby w życiu takie tylko istniały trudności. Na wojnie, którą przeżył, trzeba było bronić się lub napastować przy użyciu sposobów o wiele mniej dziecinnych.

Donia Magdalena wydaje krzyk rozpacz. Pada na kolana.

— Zatrzymajcie go! — woła nagle głosem, którego brzmienie przejmując wszystkich zgromadzonych dreszczem przerażenia. — Mam świadka, który nie zaprzeczy prawdzie!

Sędzia czyni gest. Kilku ludzi biegnie za odchodzącym wojskowym. Sprwadzają go z powrotem.

— Mów — gest głowy sędziego w stronę nieszczęśliwej. — Kogo wzywasz na świadka?

— Człowieka, który słyszał każde nasze słowo, znajdując się tuż nad nami.

— Gdzie on przebywał?

— Zwisiał z drzewa tortury, na którym wydał ostatnie technienie.

— Węc był martwy?

— Tak. Lecz żyje.

— Kobieto, szaleństwo mówi przez twe usta. Podaj mi jego imię.

— Chrystus na krzyżu przy los Cuatro Postes. Idźcie Go zapytać.

Słysząc imię Jedynego Boga don Pedro uchyła bieru. Wśród zgromadzonych panuje przez chwilę milczenie. Gubernator pochyla się w stronę asesorów.

Padają ciche słowa narady. Później don Pedro de las Navas powstaje i, po raz wtóry obnażając głowę, stwierdza:

— Aby móc wydać sprawiedliwy wyrok, obowiązkiem sądu jest zbadać możliwie najdokładniej okoliczności prowadzące do wyjaśnienia sprawy. Cytowany przez skarżącą świadek jest pośród wszystkich nam znanych ponad wszelką wątpliwość najwiarygodniejszy. Sąd przeto poleca komornikom, by przygotowali wszystkie potrzebne do przyjęcia zeznań z ust Pana Naszego Jezusa Chrystusa papiery. O ile zechce On w mądrości swojej obdarzyć nas swą łaską, dziś jeszcze będziemy znali prawdę. Następne posiedzenie sądu zwołuję tutaj przed godziną zachodu. Obecność stron w momencie przyjmowania zeznań jest wymagana.

Pochmurnym wietrzyn przedwiecznym orszak złożony z urzędników sądowych, zbiorów oraz tłumu ciekawych obojga płci, wyruszył z sali posiedzeń, kierując się wąskimi ulicami ku samotnemu poza miastem krzyżowi. Szedłem kiedyś tą drogą naznaczoną urokiem legendy. Wzdłuż cichej calle de los Telares, zajętej przez warsztaty szewców, i pod szerokim sklepieniem puerta de la Mala Hicha, później obok najeżonych basztami białych murów fortcey i poprzez pamięgający rzymskie czasy kamienny Puente viejo z szumiącą pod nim wodą brystrej Adeja, by wreszcie przystanąć na wysadzany drzewami akac-

cyj gościu wiodącym do Salamanki. Gdyś szedł, czułem — tłum przed kilkuset lat poruszał się wokół mnie, bogaty wiarą w siłę prawdy i kult Ukrzyżowanego. Na czele pochodu stąpali sędziowie, wspaniale posągowi w swej hieratycznej powadze tak właściwej Hiszpanom przy każdym publicznym wystąpieniu.

Wokół wzniesienia, na którym szalał górski wiatr, szarpiając płaszczami mężczyzną oraz chustami i mantyllami kobiet, czarny skłębiony tłum oczekiwał nadejścia pochodu. Więś o cytowanym w sprawie świadku lotem błyskawicy rozniósł się po mieście. Nikt nie chciał trać okazji przyrzeczenia się niespodziewanemu i wstrząsającemu widowisku. Między tłumem dojrzeć można było białe oblicze klęczącej i zatopionej w modlitwie donii Magdaleny oraz wykrzywioną konwulsyjnym uśmiechem twarz don Ramona. Nad czarnym tłumem, szarpane potężnym na tej niekończącej się płaszczyźnie wichrem, wznosiły się skąte bierwiona krzyża, pochylone ze starości i na poły zmurszałe. Wielka, skręcona agonią postać Chrystusa o rękach i nogach żelaznymi gwoździ przybitych do drzewa męki, patrzyła na rosnyący tłum oczami, w których zastygł wyraz bólu i rezygnacji.

Orszak przystanął. Komornicy z trudem zapalają wielkie, niesione na ramionach lampy. Płomyki złotego światła kołyszają się niespokojnie w zamkniętej szelnie szkiełm przestrzeni. Wszyscy zgromadzeni klękają. Szept i pomruk modlitwy unosi się w powietrzu.

Komornik, przybrany w długą szatę, obrebną na dole czerwona wypustką z aksamitu, zwolna podchodzi do krzyża. W drżących rękach trzyma zwój papierów. Klęka naprzeciw wielkiej figury Ukrzyżowanego i głosno, strona po stronie, odczytuje akty rozpoczętego procesu. Później zwolna unosi ku górze ręce obciążone papierami i zaczyna mówić załamującym się i drżącym ze wzruszenia głosem:

— Jezu Chryste, synu Marii, Ukrzyżowany dla zbawienia nas wszystkich a którego święta pomoc chcielibyśmy mieć przy sobie każdego dnia żywota naszego na ziemi, powiedz nam, jeśli jest taka wola Twoja, czy twierdzenie donii Magdaleny de Velada o złożonej u Twych świętych stóp przez don Ramona Lopez Nunez, kapitana wojsk królewskich, przysiędze zobowiązującej go po powrocie z wojny do poślubienia skarżącej jest prawdą?

Szalejący wiatr nadchodzącej burzy rzucił ostatnie dwa, donośnie wypowiedzane słowa o niedaleko piętrzące się kamienne usypisko, skąd powrócyli echem, stanowiąc trwożnie wyzekiwaną odpowiedź:

— Jest prawdą — usłyszeli wyrażnie zgromadzeni wokół krzyża ludzie.

W tym momencie wstrząsany wichrem krzyż drgnął i przechylił się nagle. Jednocześnie zebranych dobiegł donośny trzask pękającego drzewa. Obluzowane gwoździe prawej ręki i stóp puściły, wynurzając się z bierwion. Figura Ukrzyżowanego zachwiała się, przybierając nieoczekiwanie ukośną pozycję. Wisząc jedynie na lewej ręce, rzeźba zmieniła swój pion, przesuując go o 45 stopni. W ten sposób Ukrzyżowany obniżył prawą rękę, sięgając nią ku podstawionym, trzymanym w górze papierom komornika. Wydawało się, że Chrystus z los Cuatro Postes potwierdza prawdę zawartą w oświadczeniu donii Magdaleny. I że w bezwładzie śmierci chce żywy zejść z krzyża celem obrony swego nieszczęśliwym dotkniętego dziecka.

Wśród tłumu zerwały się okrzyki. Niektórzy z obecnych upadli na twarz inni wznosili ręce ku wichrem szarpanej figurze. Zwołano się na kolana, obejmowano rękami podstawę krzyża, całowano stopy Ukrzyżowanego.

W tej niezwyklej pozycji, zawieszony na jednej ręce, zachowany jest do dzisiaj drewniany Chrystus z los Cuatro Postes i takim go zobaczyłem, gdy pierwszy raz udał się za miasto do samotnej na wyzynie kaplicy. Legenda dodaje, iż wstrząśnięci widzianym cudem, donia Magdalena i don Ramon Luis Nunez, on prerażony dokonany krzywoprzysięstwem ona dostrzegłszy nagle marność poszukiwania szczęścia na ziemi, wstąpili oboje do klasztoru. Zamknięci za murami konwentów, urzeli się, być może, dopiero po ukończeniu ziemskiej wędrówki.

Tak wygląda historia kochanków z Avili. W procesie mającej miejsce w Łęczycy Chrystus, prerażony bardziej uczciwym wyrokiem ferowanym przez diabła od owego, uprzednio ogłoszonego przez sędziów, odwraca twarz nie chcąc patrzeć na pieczęć diabelskiej ręki wypalonej na sędziowskim stole. Lecz w obu wypadkach, jak już zaznaczyłem, spełnienie cudu nie przyniosło oczekiwanej reakcji. Interwencja poza ludzką nie zwróciła ubogiej wdowie majątności zagrabionej przez bogatego sąsiada, ta sama interwencja nie rzuciła donii Magdaleny w ramiona don Ramona. Wyroki sądów boskich innymi widak niż ludzkie kierują się przesłankami.

Mieczysław Lurczyński

PODZIĘKOWANIE PRYMASA POLSKI

Komitet Pomocy Rodakom w Kraju (42, Emperors Gate, London S.W.7) otrzymał z Sekretariatu Prymasa Polski list treści następującej:

Z polecenia J. Em. Ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski, składamy serdeczne „Bóg zapłać” za cenne lekarstwa przesłane w pięciu paczkach na rzecz repatriantów. Jego Eminencja dla członków Kom-

tetu i dla wszystkich ofiarodawców przesyła błogostawieństwo prymasowskie, jako zadatek nagrody Mitisiernej Boga dla mitosiernych ludzi, oraz wszystkich oddaje pod opiekę Królowej Polski, Pani Jasogórskiej.

Warszawa, dnia 8 sierpnia 1957 r.

Sekretariat
PRYMASA POLSKI
Warszawa
ul. Miodowa 17.

NOWE WYDAWNICTWO
Oficyny Poetów i Malarzy
TYMON TERLECKI

KRYTYKA PERSONALISTYCZNA

CENA : 5/6 Do nabycia:
146 Bridge Arch, Sutton Walk, London, S. E. 1

ZROZUMIAŁA SATYSFAKCJA

POD osłoną nocy, worki z dołu, do którego je wrzucono, zostały przeniesione do szklarni. Bratek przeznaczył dla nich miejsce pod półką najbliższą, gdzie wykopał tak głęboki rów, że 38 worków mogło pomieścić się w nim swobodnie i bezpiecznie. Po ułożeniu worków zasypał dół ziemią ogrodniczą, a na wierzchu zasadził flance begonii. W takim stanie przetrwały do dnia następnego. Na straży przy zdobywcy Jurek pozostawił zespół ludzi z rozpylaczkami i granatami. Pod wieczór część z nich zwinął do domu, a czterech wyznaczył do pełnienia warty na zmianę po dwóch przez całą noc i pół dnia następnego. Tej nocy Bratek nie zmrużył nawet oka, uważał za swój obowiązek gospodarza zająć się gośćmi i cennym skarbem, jaki miał w przechowaniu.

Następnego dnia nad ranem nagle zjawiała się granatowa policja w postaci dwóch posterunkowych, którzy obrali sobie miejsce pełnienia służby akurat przed posesją Bratka.

Zdawało się już, że to wyspa: Niemcy wpadli na trop i przystąpił do niego patrol, sami trzymają się w pobliżu — nie chcą się osobiście zhytnio narażać. Byliśmy pewni, że za chwilę otoczają posesję i uderzą na nas. Zwykle w takich wypadkach, żeby się nie narażać, postępowali właśnie w taki sposób.

Chłopcy, jako że byli w gorącej wodzie kąpani i bezpośrednio rozgryźkowi po akcji, nie umieli utrzymać nerwów na wodzy. Namawiali Jurka i Bratka, żeby im pozwolili, jak się wyraził jeden z nich: „przejechać po Niemcach”. Zupenie nie myśleli o następstwach, jakie może to pociągnąć za sobą — choćby tylko o utracie cennej, w niebezpieczeństwie, po 15-miesięcznym mozołowym wydarciu zdobywcy.

Spokojna i dłuższa obserwacja Bratka i Jurka wykazała, że policjanci owi mają zupełnie inne zadanie. Rewidowali wszystkie wozy przejeżdżające do ulicy Wolskiej i w odwrotnym kierunku do ul. Górczewskiej w poszukiwaniu misza z tajnego uboju i szmuglerzy tłuszcza i masła. Policja granatowa sama lub wspólnie z Niemcami rewizje takie odbywała często na własną rękę, czyniąc to i dla osobistego użytku. Stwierdzono, że patrol nie interesuje się wcale ogrodem, wobec czego nie było potrzeby gwałtownej interwencji. Chłopcy przebywali wówczas w szklarni w ukryciu i czekali tylko na rozkaz Jurka.

Przed akcją umówiliśmy się z Jurkiem, że po udanym napadzie spotkamy się punktualnie o godz. 12 w kościele Sowińskiego na Woli. W czasie akcji znajdowałem się w bramie Zarządu Miejskiego przy ul. Senatorskiej, skąd dokładnie mogłem obserwować, jak samochód ciężarowy z gotówką i samochód osobowy z konwojem posuwały się w kierunku, z którego za kilkanaście sekund usłyszałem kanonadę. To upewniło mnie, że spotkanie z Jurkiem dojdzie do skutku.

W oznaczonym czasie zjawił się Jurek rozpromieniony, szczęśliwy, z uśmiechem na twarzy. Jaka składowa była różnica między obecnie składowym meldunkiem a smutnym sprawozdaniem po nieudanej akcji, dokładnie tydzień temu. Teraz siedzieliśmy w ławce w kościele zupełnie pustym, poza jedną babcią, która nie interesowała się nami. Stąd udaliśmy się do Bratka.

Stwierdziłem, że wszystko w porządku. Jurkowi poleciłem, żeby transport pozostał w tym miejscu — po uprzednim zabezpieczeniu — przez 24 godziny, skąd zostanie przewieziony do meliny nr 2. Zdecydowałem się pozostawić transport u Bratka, ponieważ byłem przekonany, że Niemcy natychmiast poruszą z poseszą ziemię, żeby za wszelką cenę odzyskać utracone pieniądze, i wydadzą zarządzenia wszystkim organom bez wyjątku, żeby współpracowały w tej akcji z Gestapo i policją.

Po upływie godziny od napadu na transport, wszystkie rogatki wokół Warszawy zostały „hermetycznie” zamknięte, a Niemcy czynili szczególne rewizje, spodziewając się, że pieniądze będziemy starali się wywieźć z Warszawy na prowincję. Mielśmy dokładne dane, że co chwilę wydawali dodatkowe zarządzenia, chcąc złapać nicy, które zaprowadziłyby ich do celu. Zresztą nie dziwiłmi się im wcale — materialnie i prestiżowo przegrali na całej linii. Teraz zrozumiałem, dlaczego gen. Grotowi tak bardzo zależało na tym, żeby akcja ta przebiegła pomyślnie.

W czasie okupacji często spotykaliśmy ludzi upadających na duchu i wyczerpanych nerwowo — często do brych Polaków, którzy nas przekonali, że Niemcy, a raczej gestapowcy wszystko wiedzą i niczego przed nimi nie da się ukryć. Ta psychoza ciągnęła się bez przerwy od roku 1939 do końca wojny. To byli ci „zdeklarowani pesymiści”, na których nie mieliśmy żadnego lekarstwa. Myślny natomiast twierdził odwrotnie: że Niemcy niczego nie wiedzą, a opierają swoje wiadomości na informacji *volksdeutschów* i znikomej liczbie Polaków, którzy poszli na lekką chleb i zdradę ojczyzny. Na szczęście było ich niewiele.

WIZJA LOKALNA MICHAŁA II

JAK wyglądała w tym czasie sytuacja na terenie Banku przy ul. Bielańskiej 2? Od momentu wyjazdu samochodu ciężarowego z transportem pieniędzy z podwórza zabudowań upłynęło 15 minut. Michały i kol. T. M., czekali podnieceni i zdenerwowani.

Pierwsza wiadomość — to telefon, że na transport, który przed chwilą

AKCJA «GÓRAL»

Ppłk Emil KUMOR (Krzyś) — (5)

opuszczył Bank, dokonano napadu, samochód z pieniędzmi zabrano, są zabić i ranni. Równocześnie kilku pracowników, których delegowano do załadowania worków z pieniędzmi do wagonu, wpadło do ambulatorium Banku, ażeby opatrzyć rany, które otrzymali przypadkowo w czasie strzelaniny. Nie byli w stanie opowiedzieć o przebiegu napadu, jeszcze oszołomieni i zaskoczeni tym, co przed chwilą przeszli. Najbardziej interesowali się przybyskami dwa Michały, czekali odpowiedniej chwili, ażeby zdobyć potwierdzenie tego, co przed chwilą usłyszał telefonicznie Michał II.

Gdy lekarz przystąpił do opatrywania ran, jeden z rannych powiedział: — Tak „zrobili” nasz transport, że wszyscy Niemcy zabić, a naszych kilku kolegów zostało rannych. Samochód z forszą uciekł w nieznanym kierunku.

Wyobrażam sobie, co musiało się dziać w sercach moich Michałów. Nie zdradzili się i tym razem, i dalej grali dawno zaczęta komedię, tym bardziej że akcja nie była jeszcze skończona.

Wkrótce na terenie Banku pojawiły się pierwsze oddziały Gestapo i policji. Obsadzili Bank od zewnątrz i wewnątrz nie pozwalając nikomu z pracowników opuszczać miejsca pracy. Wszyscy bez wyjątku mieli pozostać do dyspozycji władz niemieckich.

Michał II szukając sposobu wydostania się z Banku, poprosił swego szefa Niemca, żeby pozwolił mu uciec się osobiście na miejsce napadu, by przeprowadzić wizję lokalną i złożyć raport o swoich spostrzeżeniach. Cała niemiecka dysekcja zupełnie straciła głowę. Każdy z nich obawiał się o własną skórę; najbardziej drżeli przed wysłanką — za karę — na front wschodni.

Komisarz niemiecki zgodził się, a Michał II udał się na miejsce „zbrodni”. Wobec tego Michał skorzystał z obecności czterech żandarmerów, którzy przed chwilą przywieźli autem „Überfahlkommando” niedużą sumę z P.K.O. i mieli zaraz wracać z powrotem. Wyjaśnił im, że został delegowany służbowo z ramienia władz niemieckich Banku na miejsce wypadku i poprosił, żeby mu towarzyszyli jako ochrona przed bandytami.

Zandarmi popatrzyli z zakopotanymi minami jeden na drugiego; zaczęli tłumaczyć, że to nie do nich należy. Michał II nabrał tupetu i swą świętą niemiecką zapewniał ich tak długo, że jest już dawno po napadzie, a bandytów pewnie już nie zastaną, aż po dłuższej dyskusji, namyśle i porozumiewaniu się wzrokiem, zdecydowali się jechać.

Po przyjeździe na miejsce Michał II stwierdził, że miejsce napadu — tak dobrze mu znane — w szerokim promieniu obstawiono silnym kordonem policji i Gestapo, a wyloty ulic obsadzono karabinami maszynowymi. Co chwilę przyjeżdżały coraz to nowe limuzyny z wyższymi oficerami policji i Gestapowcami. Miejsce napadu przedstawiało dla Niemców widok mroczący krew w żyłach.

Dokładnie w miejscu przewidzianym w wyreżyserowanym planie stało osobowe auto przedziurawione kilkoma seriami z P.M. W samochodzie siedział jeszcze trup jednego z żandarmerów niemieckich — oczywiście już bez broni: jeden z uczestników akcji zdążył go rozbroić i broń zabrać. Na chodniku leżały zwłoki komandanta straży bankowej, *volksdeutscha* Nagenasta, również bez broni. Był on na terenie Banku istnym postrachem, za co spotkała go zasłużona kara.

Jeszcze dalej stał połamany wózek ręczny z pustymi skrzynkami, wyrzuconymi częściowo na jezdnię. Wyznaczone mu w programie zadanie wykonał na medal, teraz stał się nam niepotrzebny. (Niemcy zaopiekowali się nim i wystawili go na widok publiczny za oknem wystawowym, na należnym miejscu. Przechodnie na Krakowskim Przedmieściu mieli możliwość przez długie dni i tygodnie przypatrywać się pozostałym po napadzie akcesoriom, wśród których znajdowały się wór worka, w jakim wysłane były pieniądze, i afisze, opiewające dużą nagrodę za wskazanie lub wykrycie sprawców napadu. Nagrody Niemcy wyznaczyli nie tyle jakie: 5 milionów — za wykrycie transportu, 1 milion — za początek nitki, która naprowadziła ich na ślad).

Na środku jezdni leżał trup jeszcze jednego żandarma, ten także bez broni i hełmu. Dwóch żandarmerów ciężko rannych zabrali Niemcy do szpitala.

Między Polakami zostali ciężko ranni dwaj urzędnicy Banku, którzy znaleźli się w czasie akcji — „B” i „W” (Mieczysław Wachniewski), oficer rezerwy lotnictwa, w samochodzie osobowym. (Okazało się, że Wachniewski wbrew dotychczasowym zasadom wsiał do samochodu osobowego, który eskortował transport. Ani Jurek, ani Michał II nie wiedzieli o tym, obaj byli przekonani, że obsada będzie wyłącznie niemiecka). Ranni Polacy zmarli w szpitalu wskutek odniesionych ran.

Naoeczni świadkowie napadu, którzy znajdowali się w tym czasie w samochodzie ciężarowym zeznali, że w pewnym momencie po przejeździe ulicy Miódowej usłyszeli huk granatu, a potem piekielny ogień ze wszystkich stron, co zresztą trwałoby krótko. Potem padł rozkaz: „Polacy, padnij!”; jeszcze kanonada, następnie, wyrzuceni z samochodu, usłyszeli tylko warkot oddalającego się auta i nastała grobowa cisza.

PIERWSZE KROKI ŚLEDZTWA

NA miejsce wypadku zajeżdżały coraz inne limuzyny, a w nich coraz wyższe władze: szef S.A., szef Gestapo, wyżsi oficerowie S.S. i policji. Wszyscy oglądali miejsce, na którym przed chwilą rozegrała się walka. Sąd ich był zgodny: napadu dokonano po mistrzowsku. Zgodni byli również, co do jednego — że musiała istnieć współpraca personelu polskiego z Banku ze sprawcami napadu. Michał II usłyszał zdanie wypowiedziane przez najwyższego stopniem oficera S.A.:

— Das ist ein Meisterstück... Das hat ganz unmöglich... Die Organisation hat überall ihre Leute.

Hitlerowskie dostojnicy nakazali władzom policyjnym przeprowadzenie jak najbardziej szczegółowego śledztwa oraz szybkie wykrycie sprawców napadu. Z miejsca przystąpiono do roboty. Przesłuchano świadków. Spisano dane ze znalezionych papierów auta ciężarowego. Każdego z Polaków stawiano pod ścianę twarzą do muru.

Badaniu takiemu został poddany również i Michał II. Dopiero na interwencję jednego z członków apellacji niemieckiej Banku, Michała II zwolniono.

Tragiczna wiadomość, że dwaj ranni Polacy zmarli na skutek odniesionych ran, wywołała wśród kolegów Banku przygnębienie — mimo tego nie padło ani jedno słowo potępienia; uważano, powszechnie, że zginęli na posterunku jak żołnierze i dla dobra sprawy.

Fakt, że Niemcy nie pozwolili nikomu wychodzić z Banku, nie wróżył nie dobrego. Kursowały pogłoski lansowane przez przybyłe Gestapo i policję, że wszyscy pracownicy zostaną aresztowani.

Komisarz niemiecki Banku zamówił pilną rozmowę telefoniczną z Krakowem i zamedował gubernatorowi Frankowi o napadzie, zapewniając go równocześnie o lojalności swoich pracowników i kategorycznie twierząc, że sprawcy napadu nie mogli być wzmianowane to poparł argumentem, że w akcji tej zginęło trzech urzędników Polaków. Fakt śmierci trzech Polaków spośród pracowników B.E. niewątpliwie przyczynił się do tego, że śledztwo potoczyło się w odwrotnym kierunku i równocześnie okupio pozostałych przed niewątpliwymi represjami ze strony okupanta.

Z pomocą przyszło nam jeszcze i to, że komisarz niemiecki był w niezgodzie z warszawskim Gestapo i właśnie dla upokorzenia go prosił Franka, aby przysłał Gestapo krakowskie dla przeprowadzenia śledztwa. Gubernator wyraził na to zgodę i zabronił miejscowemu Gestapo mieszenia się do śledztwa, którym zajmie się jeszcze dziś przybyłe do Banku Gestapo krakowskie. Urzędników nakazał zwolnić do domu. O godz. 18-ej wszyscy, uradowani i szczęśliwi, że na razie wszystko skończyło się dobrze, rozeszli się do domów.

I w tym wypadku Michał II odegrał wybitną rolę. Mając duży wpływ na komisara, wbił go w dumę twierdząc, że nie powinien dopuścić do tego, ażeby warszawskie władze bezpieczeństwa mieszały się do jego sprawy, jeśli bezpośrednio podlega on samemu gubernatorowi.

Wszyscy w Banku dawali sobie dobre sprawę z tego, że Niemcy nie cofną się przed najgorszymi represjami, aby wykryć sprawców napadu. Metody, jakie stosowali w czasie okupacji, były nam dobrze znane. Ta podrażniona ambicja warszawskiego Gestapo przysłała nam z pomocą: znaczenie osłabiła jego chęć pomagania w śledztwie. Trzeba zaznaczyć, że między tymi dwoma instytucjami trwała od początku okupacji do końca walka o władzę i wpływy u swego „oberkarta” Himmlera.

Tego jeszcze dnia, wieczorem, zjechało z Krakowa Gestapo i rozpoczęło swoje śledztwo. Również tego samego dnia wszyscy pracownicy B.E., którzy mieli jakakolwiek styczność ze Skarbcem i transportami, oczywiście z Michałem II na czele, przewiezieni zostali do Gestapo na ul. Koszykową i poddani szczegółowemu badaniu, które trwało całą noc.

ZDOBYCZ WYRUSZA W DALSZĄ DROGĘ

PRZESŁUCHANIA nie wykazały. Kilkakrotnym badaniem podlegał oddzielenie jeszcze Michał II, ale Niemcom to nie nie wyjaśniło. Michał wykazał w czasie śledztwa, że wszystkie czynności wykonywane przez pracowników B.E. dotyczące Skarba i transportów pieniędzy, odbywały się ściśle według instrukcji władz niemieckich.

W tym czasie Niemcy szaleli na miejscu. Pieściosobowe patrole policji niemieckiej rozsiadły po całej Warszawie. Rogatki obstawiono i wzmocniono specjalnymi oddziałami uzbrojonymi w ciężką broń maszynową i w pistolety maszynowe. Niemcy spodziewali się, że skradzione pieniądze organizacja przewiezie poza Warszawę. Wszystkie pojazdy — samochody, platformy, wozy, wózki ręczne, a nawet przechodniów z paczkami — zatrzymywano i poddawano rewizji.

Był to jeden z głównych powodów, jakimi kierowany odożyłem przez transportowanie pieniędzy do meliny nr 2, tj. do naszego „skarba” przy ul. Śliskiej 15.

Następnego dnia, nie zważając na to, że był to piątek, a w dodatku

trzynasty, zdecydowałem się przewieźć doobcz na nowe miejsce przeznaczenia. W dniu tym o godz. 11-ej ponownie spotkałem się z Jurkiem w kościele na Sowińskiego, skąd udaliśmy się do Bratka. Po drodze Jurek zameldował mi, że chłopcy palą się, aby przewiezienie zdobywcy miało charakter drugiej akcji, i do tego, żeby użyć kilku samochodów ciężarowych z pełną obsadą bojową. Samochody takie i potrzebnych ludzi dostarczył Kedywu.

Podziękowałem Jurkowi, ale z propozycji nie skorzystałem. Miałem swój własny plan i ten postanowiłem realizować.

Po drodze spotkałem placówkę, która od 24 godzin pełniła służbę na zmianę przy pieniądzach, początkowo w ogrodzie a następnie w szklarni. Pieniądze spokojnie przeleżały całą noc nienaruszone w zaplombowanych workach — a na nich dalej rosły begonie.

Jurkowi poleciłem, ażeby na godz. 14-tą sprowadził platformę z parą zdrowych, mocnych koni i dobrymi bokami na gumowych kołach, w miarę możliwości z woźnicą w wieku starszym i dodałem:

— Woźnicę proszę nająć i powiedzieć mu, że przewiezie warzywa od ogrodnika z Woli dla aprowizacji Zarządu Miasta w Śródmieściu. Dokąd, dowie się w ostatniej chwili, gdy wyruszymy w drogę z transportem.

Na tę samą godzinę zamówiłem mego pracownika Brzezińskiego, który znał adres przyszłej meliny, i jemu powierzyłem konwój transportu, o którym do ostatniej chwili nie zresztą miał nie wiedzieć. Jurek idąc po wóz z końmi, po drodze na rogu ul. Sowińskiego i Wolskiej spotkał Felka i jemu przekazał wyszukanie odpowiedniego wehikulu, a sam powrócił, żeby pomóc w przygotowaniu pieniędzy do transportu. Pozostało nam dwie godziny na wszystkie czynności z tym związane. Bratkowi kazaliśmy przygotować wszystkie skrzynki na pomidory, kosze na jarzyny i worki.

Jurek ze swoimi chłopakami zajął się wykopaniem worków z pieniędzmi spod begonii. Układano pieniądze dużymi paczkami w skrzynkach po 1.000 setkami i 500.000 pięćsetkami. Do każdej skrzynki włożono po sześć paczek. Wszystkich paczek o-

gótem było 349, resztę ładowaliśmy do koszy i worków. Po wypełnieniu skrzynek na wierzchu ułożyliśmy pomidory. Skrzynki układano po kilka, jedna na drugą, tak, żeby łatwiej i szybciej można było układać je na wozie. Kosze i worki na wierzchu i spodzie miały kapustę, marchew i buraki.

Rozpoczęliśmy ładowanie, pomagali wszyscy i w pewnym momencie zauważyłem, że woźnica — niewtajemniczony — chce także pomóc, żeby zdobyć sobie na przyszłość klienta, który nie targuje się za kurs. Byłem temu przeciwny, bo lada chwila mógł spowodować wywalenie całej zawartości na ziemię, a wtedy wydobyłoby się wszystko i woźnica mógłby przestraszyć się tych pseudo-ja-bym, które miał przewieźć. Przerwałem więc swą pracę, odciągnąłem go na bok i rozpocząłem mu opowiadać, że będą częściej go potrzebować, bo jako dyrektor aprowizacji miejskiej, często mam trudności z wyszukaniem uczciwych i solidnych woźniców. Poza tym zapłaciłem dobrą cenę za warzywa wraz z załadowaniem do magazynu.

Moją rozmowę chłopcy wykorzystali i w mig załadowano wóz. Brzeziński pomagał również, pomimo że nie wiedział, co kryje się pod jarzynami. Był pewny, że mamy przewieźć broń. Przyszedłszy na spotkanie, zapytał mnie nawet, czy wiem, że wczoraj podobno zabrano Niemcom duży transport pieniędzy na ul. Senatorskiej. Odpowiedziałem mu, że coś niecoś słyszałem.

Podczas mojej rozmowy z woźnicą, Bratek kilkakrotnie zwracał się do mnie z różnymi zapytaniami, tytułując mnie: „panie dyrektorze”. Gdy ostatni wózek znalazł się na wozie, zapytał:

— Panie dyrektorze, kiedy mam się zgłosić po odbiór należności za warzywa i czy w tym samym miejscu co zwykle?

Odpowiedziałem mu, że dzisiaj pieniędzy nie otrzyma, bo kasa wypłaca tylko do godziny 13-ej, a teraz jest już po 15-ej.

— Proszę przyjść jutro do 11-ej.

Po pożegnaniu się z Bratkim, kazałem Brzezińskiemu wsiąść na wóz i podałem adres: Słiska 15. Melinę nr 2 znał dobrze, nie wiedział tylko, dla jakich celów została ona zbudowana. Dodałem mu do dyspozycji dwóch „stenistów” z grupy czterech, którzy pełnili służbę przez 24 godziny w szklarni przy zdobywcy. „Steniści” mieli zadanie obrony transportu w razie nieprzewidzianej rewizji, względnie zatrzymania transportu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

JÓZEF JASTRZĘBSKI

NOWINKI LONDYŃSKIE

CZTERDZIESTOLECIE KRECHOWIAKÓW

OBRONA STANISŁAWOWA

SĄ to już nieco dawne dzieje, lecz jeszcze świeże w pamięci tych, którzy byli ich uczestnikami i żyją dotychczas...

22-23 lipca 1917 roku — w czasie I wojny światowej — miasto Stanisławów, znajdujące się wówczas pod zaborem austriackim, było okupowane przez oddziały armii rosyjskiej. Kozaacy i formacje piechoty rosyjskiej — w przewidywaniu, że wkrótce nastąpi odwrót i trzeba będzie miasto opuścić — zaczęli palić i rabować Stanisławów, mordując mieszkańców i dopuszczając się okropnych gwałtów, okropnego bestialstwa. Jak to zresztą jest w zwyczaju „walecznych” tych czubarzyków.

Właśnie w tym samym czasie przez miasto przechodził, wykonując nakazany marsz na północ od Stanisławowa: „1. pułk ułanów polskich”, formacja należąca do „1. dywizji wojsk polskich” tworzonych w Rosji.

Ówczesny, pierwszy, dowódca tego pułku, płk. Bolestaw Mościcki, wydał rozkaz obrony miasta i oczyszczenia go z tłuszczy rosyjskiej. Z niezwykłą furją rzucili się polscy ułani na barbarzyńców moskiewskich, dając upust swym uczuciom patriotycznym i ludzkim. Jakich czas bowiem musieli bezczynnie przypatrywać się tragedii swych rodaków — w oczekiwaniu na ten rozkaz. I Stanisławów został z opresji wyratowany.

ZWYCIESTWO POD KRECHOWCAMI

NA drugi dzień po wyratowaniu Stanisławowa, tzn. w dniu 24 lipca, młody ten, bo niecałe 4 miesiące liczący pułk, o nielicznych stanach, otrzymał od tego rosyjskiego dowódcy, któremu podlegał, rozkaz zatrzymania za wszelką cenę nacierających Niemców. Ci bowiem wykorzystując że 19 rosyjska dywizja piechoty nieoczekiwanie podała im tyły, zaczęli oskrzydlać 11 rosyjską dywizję piechoty.

Wykonując przyjęty na siebie obowiązek walki wspólnie z jednym wrogiem przeciw drugiemu odwiecznemu wrogowi: ruszył pułk do ataku i rozgromił niemieckie, znacznie silniejsze, jednostki pod wsią Krechowce.

W ten sposób dobry los pozwolił tej walecznej jednostce polskiej w ciągu 3 dni wziąć odwet na dwóch zaborcach. Za czyn waleczny pod Krechowcami, który uratował Rosjan od klęski, rosyjscy dowódcy zasypali pułk gratulacjami, a poza tym otrzymali on 40 krzyżów św. Jerzego, wysokiego rosyjskiego odznaczenia bojowego. Od nazwy zaś wsi, która była świadkiem chwały oręża polskiego, wziął pułk obecną swą nazwę: 1 pułk ułanów krechowieckich. A kiedy ten pułk krechowiecki znalazł się następnie w nie-

podległej Polsce i stawał w obronie jej wolności i granic — dokonał niejednego czynu godnego Krechowców. Ale to byłaby długa historia — chcieć opowiedzieć o tym wszystkim...

ZJAZD

Z racji przypadających w roku bieżącym rocznic: 5 kwietnia — 40 lat utworzenia pułku — oraz 40 rocznicy bitwy o Stanisławów i pod Krechowcami: odbył się niedawno temu w Londynie zjazd członków kół pałkowego 1 pułku ułanów krechowieckich.

Zjazd ten zaczęto nabożeństwem za poległych, odprawionym w „Brompton Oratory”, londyńskiej katedrze katolickiej, która stała się jakby drugim kościołem polskim (w śródmieściu Londynu). (Na Devon Rd, trochę dalej od śródmieścia, jest polski kościół, własność Polaków). Po nabożeństwie w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego oddano hołd sztandarowi pułku, istniejącemu od momentu powstania pułku, a teraz będącemu w tym instytucie na przechowaniu.

Apel poległych odbył się zaraz po oddaniu hołdu sztandarowi. (Sztandar ten, jeden z nielicznych sztandarów kawalerskich (zaledwie 5) odznaczonych orderem wojennym: wirtuti militari — był dwukrotnie ukrzywany. W czasie I wojny światowej i w kampanii wrześniowej). Apel odczytał mjr Białostocki. Obecni byli: płk. Feliks Dziewiecki, ostatni dowódca pułku, generałowie — Głuchowski, Kopański, Kmiec-Skrzyński, Maczek, Podhorski, jeden z twórców pułku, oraz gen. Zahorski. Ponadto w uroczystości wzięli udział jeden z pierwszych żołnierzy pułku: ppłk. Witold Święciecki, mjr Przewoźcki, chor. Lewandowski, wachmistrz Sobol. Przybyli też, ma się rozumieć, delegaci innych kół pułkowych oraz goście.

DĄŃ KRWI

POLEGŁ w drodze do Polski płk Bolestaw Mościcki, 1 dowódca i honorowy szef pułku, poległ dwaj inni dowódcy pułku: gen. Stefan Suzyński i płk Jan Litewski. Poległo w I wojnie — 156 krechowiecków, w kampanii wrześniowej 1939 r. — 31, w powstaniu warszawskim — 9, w Katyniu, łagrach i koncentracjach zginęło 11 krechowiecków, z rąk polskiej bezpieki — 1. W kampanii włoskiej poległo na polu chwały — 28.

W czasie uroczystości w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego gen. Podhorski odczytał krótką historię pułku. Również od gen. Podhorskiego dowiedzieli się zebrań, że niemal w tej samej godzinie, co w Londynie, w Warszawie, w kościele św. Krzyża, gdzie spoczywają zwłoki płk. Mościckiego i znajduje się tablica pamiątkowa, odbyło się także nabożeństwo żałobne za dusze poległych i zmarłych krechowiecków.

Józef Jastrzębski

LISTY DO REDAKCJI

OSWIADCZENIE

Wielce Szanowny Panie Redaktorze, Pozwalam sobie najprzejmiej prosić Pana Redaktora o łaskawe zamieszczenie w Jego poczytnym piśmie następującego oświadczenia:

Nie zdarzyło mi się nigdy abym polemizował z recenzentem moich książek. Stoję na stanowisku, że krytyk posiada nieograniczone prawo do wypowiedzenia swoich sądów, bez względu na to czy autor książki uzna je za słuszne lub nie. Nie zamierzam więc zabierać głosu o recenzji p. Ryszarda Wraga o mojej książce „Kontra” („Syrena” z dn. 24. VIII.57), zresztą wysoce dla mnie pochlebnej. — Natomiast chciałbym zabrać głos w sprawie dopisku do tej recenzji, w którym p. Wraga pisze:

„Z prawdziwą przykrością przeczytałem niedawno w jednym z emigracyjnych pism rosyjskich list otwarty Józefa Mackiewicza, polemizujący z jednym z krytyków rosyjskich „Kontry”, w którym to liście Józef Mackiewicz „odcina się” od swego brata Stanisława Mackiewicza. Nie są to formy właściwe pięknym tradycjom publicystyki polskiej... etc. etc.”

Nawiasem mówiąc nie chodziło tu o żadną „polemikę z recenzją”, a dotyczyło mego artykułu w „Wiadomościach”. Nie to jest jednak ważne. Ważne wydaje mi się, że uwaga znakomitego publicysty, jakim jest p. Wraga, pobudza do głębszych refleksji: Tyle się słyszało zarzutów pod adresem Rosjan, że się nie odcięli od współpracy z bolszewizmem... Pod adresem Niemców, że się nie odcięli od współpracy z narodowym-socjalizmem... Aż oto raptem wypada wysłuchać zarzutów odwrotnych: że się zbyt drastycznie odcina od popuścieli i popuścieli komunizmu... — Czyż się tłumaczy to przestawienie ideowej zwrotnicy?

Dla mnie osobiście, hitleryzm, bolszewizm, czy w ogóle komunizm, bez różnicy zabarwienia narodowego, jak każda idea miażdżąca wolność myśli ludzkiej — jest złem samym w sobie, abstrahując od jej ściśle fizycznych przejawów zewnętrznych: obozy koncentracyjne z gazowaniem, czy bez gazowania; Oświęcim, Katyn, czy tylko psychiczno-moralne okaleczenie narodu, ludzi. Mżem ponadnarodowym, ponad-politycznym, nadzrzednym i ogólnoludzkim. Jest, moim zdaniem, rzeczą wysoce sporną, czy komunizm narodowy jest mniej niebezpieczny od międzynarodowego. Nie podejmuję jednak w tym miejscu sporu, który się nie da zamknąć w kilkunastu zdaniach. Ograniczę się do oświadczenia, że osobiście wychodząc z powyższych założeń, poczuwam się do obowiązku względem samego siebie, odcinać się od każdego, kto z tym komunizmem w jakiegokolwiek formie, choćby bardzo pośredniej, współpracuje. Czy to będzie brat, czy swat, a z którym moje nazwisko wskutek nieporozumienia czy przez nieświadomość może być pomieszane, niezależnie w jakim piśmie: polskim, rosyjskim, angielskim, niemieckim, francuskim, czy każdym innym.

Taki jest mój pogląd na te rzeczy, pogląd, który traktuję dosłownie. Wydaje mi się natomiast, że w tej dosłownej interpretacji jestem raczej odosobniony. Ogół społeczeństwa emigracyjnego ma na te sprawy poglądy, nie tyle może sprzeczne, ile — nigdy do końca niedopowiedziane. Dlatego chciałbym przy okazji zwrócić uwagę na jedną próbę dopowiedzenia rzeczy do końca, podjętą swojego czasu przez publicystę emigracyjnego. Tym publicystą był p. Ryszard Wraga. Nie pamiętam już daty, ani tytułu artykułu w paryskiej „Kulturze”, natomiast przypominam sobie dobrze odnośnik u dołu stronicy, w którym p. Wraga, jako pierwszy i jedyny, miał odwagę, czy powiedzmy: poczucie konsekwencji, sprawę postawić jasno. Cytuję nie dosłownie, tylko z pamięci sens:

„Jesteśmy przeciwko komunizmowi, gdyż cały naród jest przeciwko komunizmowi”... — I zakłada teoretycznie: „gdymy było odwrócić, gdyby cały naród był za ustrojem komunistycznym...” — To co wtedy?!

Nie obawiamy się i nie lekceważymy teorii najbardziej nawet utopijnych. Nie chowamy przed nimi głowy. Albowiem wszystkie zasady, wszystkie cele idealne i pochodne z nich hasła opierają się w gruncie na jasno sprecyzowanej teorii. Dlatego też słusznie zrobił p. Wraga, że ją jasno sprecyzował. — O ile sobie przypominam, doszedł do wniosku, że w takim hipotetycznym wypadku (nieprawdopodobnym itc.); „winniśmy jednak skłonić głowę przed wolą narodu”.

Tak, czy nie? — Śmiem przypuszczać, że większość emigracji, która ciągle podkreśla, że nie jest „białą emigracją”, a tylko „antysowiecką”, odpowie za p. Wraga: „tak”. — Ja osobiście, odpowiem: nie! Ja, w takim nieprawdopodobnym, ale hipotetycznym wypadku, odciąłbym się od tej woli własnego narodu, jak dziś się odcinam od woli każdego, kto szuka z tym komunizmem kompromisu.

Sądzę, iż wzorem p. Wraga, dopowiadając własne poglądy do konsekwentnego końca, w dostatecznej mierze wyjaśniam zasadniczą w tych poglądach między nami — różnicę.

Józef MACKIEWICZ
Monachium, 31.8.1957.

PRZECIWKO NOWAKOWSKIEMU I WRADZE

Szanowny Panie Redaktorze! Czytam „Syrenę”. Rozumiem pewne drobne niedociągnięcia. Wiem, że sta-

li współpracownicy są na wagę złota dla pisma, ale czyż to znaczy, że muszą oni być uniwersalni?

Jednym ze stałych współpracowników „Syreny” jest p. Ryszard Wraga. Kto go nie zna? Jest konsekwentny, gdy chodzi o artykuły polityczne. Obecnie p. Ryszard Wraga stał się krytykiem literackim. Mam na myśli jego artykuł „Oto dobra książka” — patrz „Syrena” z dnia 25 maja 1957. Ta niby dobra książka, to „Obóz Wszystkich Świętych” — Tadeusza Nowakowskiego.

Można by nie mieć pretencji do autora — każdemu wolno... pisać. Ani do wydawcy — tak ma to mają materiału do druku. Ale recenzja powinna być uczciwa.

Książka p. N. nie jest książką dokumentacyjną, ani pamiętnikiem. Jest powieścią — jak mówi sam autor.

I właśnie — jako powieść — książka p. N. jest od początku do końca odrażająca — często makabryczna. Na 462 stronach tej książki nie ma prawie ani jednej postaci normalnej, prawie ani jednej akcji podnoszącej na duchu. A tyczy to nie tylko okresu „dipisowskiego”. Autor ma pretensje do odtwarzania życia Polski przedwojennej i zaczyna od rozkoszowania się brodami żydowskimi Heinemana (str. 63). Tak, Heinemana — Hallerczyka! A w samym obozie D.P. dziwnie ukochał biednego sierotkę Kubusia. Oto — jak pobieżnie naliczyłem — pięć razy (str. 7, 254, 259, 298, 459) lubuje się w identycznym i makabrycznym przedstawianiu tej niezdrowszej doli dziecka-sieroty, doli, dla opisania której można chyba znaleźć coś więcej, niż tylko powtarzanie tej samej sceny.

Wydaje się niekiedy, że autor stworzył jakąś postać o prostym charakterze, nie mówiąc już o postaci mocznej, pozytywnej — lecz i to początkowo dodatnie typy, są potem spazane, ośmieszane.

Ta „poczciwa”, w/g p. Wraga, Niemka, ani na to nie pozuje, ani nie jest Niemką w świetle fabuły.

I to jest cała treść — tej książki bez treści.

Nie jestem krytykiem, jestem człowiekiem pracy i jako taki stwierdzam że książka ta meczy czytelnika. I nie jest to tylko moje zdanie. I czytelnicy ci zapytują się, po co właściwie pisze się takie książki?

Nie wiem, jakie koleje przechodził p. N. w kacie. Ale nie wierzę, aby go było stać tylko na negatywizm. Inaczej byłaby ogromna szkoda, bo autor ma bezsprzeczne zdolności naracyjne. I może zostać Reymontem, ale musi zmienić oblicze.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania.

A. Rotan

OD REDAKCJI. — Zamieszczony powyżej list p. A. Rotana jest, oczywiście, wyrazem jego poglądów na doskonałą książkę Tadeusza Nowakowskiego. Nie mamy nic do dodania, poza jednym: uczciwość recenzenta nie można mierzyć odmiennieścią jego poglądów od poglądów niektórych czytelników. Musimy stwierdzić z przyjemnością, że Ryszard Wraga w swej opinii nie jest odosobniony.

PROTESTY

Szanowny Panie Redaktorze, Przyjąłm moja dla naszego organu „Syrena” i jego Redaktora upoważnia mnie do wyrażenia mego oburzenia z powodu artykułu, w ostatnim numerze dziennika, zatytułowanego tak genialnie „Obrzydliwość”, i to nie tyle może z punktu widzenia jego treści, ile jego niedopuszczalnej formy i sposobu ujęcia tego problemu.

Wolno mieć odmiennie poglądy na użyteczność obecnego powrotu do Kraju, nie wolno natomiast odmawiać czci i wiary ludzom dobrej woli i nieskazitelnego charakteru, do których bezsprzecznie zaliczam ministra Poniatowskiego, tylko dlatego, że inaczej odczuwają swój obowiązek współpracy z Krajem.

Byłbym wdzięczny Panu Redaktorowi za umieszczenie mego listu w „Syrenie”.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Inż. Adam Bogdan Rozen

Sanowni Panowie,

Artykuł p. Stanisława Paczyńskiego, poświęcony p. Juliuszowi Poniatowskiemu, nie wprowadził mnie w osłupienie; nie przyznać się nawet do zdumienia, będąc przyzwyczajonym do zimnej demagogii, praktykowanej stale przez autora „Obrzydłości”. Nie chodzi mi zresztą, w tej chwili, o położenie nacisku na uczucie niemiaku, które odczuwam, porównując wyniar atakowanego i atakującego; idzie o rzecz ważniejszą.

„Obrzydliwość” — od początku do końca — podsuwa czytelnikowi myśl, że p. Juliusz Poniatowski jedzie do Polski, by „z właściwym sobie zapalem służyć idei, która prowadzi do sowietyzacji Polski”; Poniatowski w Polsce = praca dla sowietyzacji, oto równanie „Obrzydłości”. Czas, w którym żyjemy — nazywamy często okresem zakłamania; p. Stanisław Paczyński, w swym artykule, dał więcej niż kłamstwo, włączając doń to zabarwienie, które najlepiej wyraża tytuł jego artykułu.

Wolno oczywiście „Syrenie”, jako piśmie politycznemu — mieć swą własną opinię o decyzji p. Juliusza Poniatowskiego; więcej, posiadając taką opinię, miała ona obowiązek ją ujawnić. Ale od tego prawa i obowiązku jeszcze daleka droga do wolności oszczerstwa; trzeba się przesu-

nąć z Paryża bardzo daleko na wschód; tam się nie krępują.

To jest ta ważniejsza sprawa, która spowodowała, że piszę ten list. Łączę wyrazy poważania

Ed. Strauch
Paryż, 25.8.1957 r.

OD REDAKCJI. — Ani p. A.B. Rozen, ani p. E. Strauch nie wyjaśniają rzeczy najważniejszej. Hołdując zasadzie „świętości nie szargać” w swym oburzeniu zapominają, że kolektywizacji wsi nie można oddzielić — choćby się chciało — od bolszewizacji Kraju. I każdy, kto w tej dziedzinie będzie współpracował z reżymem — przyłoży swą cegiełkę do postępu komunizmu w Polsce. Będzie musiał przyłożyć. Przemawiając w Krakowie z okazji 20-iej rocznicy tragicznego, krwawego strajku chłopskiego Gomułka w dniu 17 sierpnia br. posunął się do groźby: „Socjalizm będziemy budować wbrew wszystkim jego urocom. A urocom, gdy zanadto zechcą brykać — uspokoiemy”. Wiadomo, że w ustach komunisty „socjalizm” oznacza — komunizm. W tym samym przemówieniu Gomułka zapowiedział, że chłopom „będziemy zalecać spółdzielnie”. Innymi słowami, program kołchozów znowu znajduje się wkrótce na porządku dziennym.

Taka jest rzeczywistość. Żadne rozdzieranie szat nad „szarganiem świętości” nie tu nie pomoże. I nie odwróci „SYRENY” od walki nie tylko z Sowiecami i komunizmem (zarówno sowieckim, jak i tzw. „narodowym”), lecz także z wszelkimi objawami kolaboracji, kapitulacji czy neutralizmu. Nawet w tym wypadku, gdy p. E. Strauch będzie ją określał jako „zimną demagogię”.

ODNOWA CZY OD NOWA?

Ukazujący się w Warszawie „Zielony Sztandar” zamieszcza charakterystyczny wiersz na temat „przemian po październikowych”. Przemiany te, jak wiadomo, nazywane są przez publicystów komunistycznych w Polsce „odnową”. Oto jak w świetle autora wiersza wygląda popaździernikowa „odnowa na wsi:

Co słychać u was,
Wtuliłowa?
A no, to słychać,
że od nowa...
Odnowa? To
poprawa znaczy?
Gdzie zaś!
Od nowa się nam pacy:
Od nowa —
drżymy przed kacymkiem,
Od nowa —
ucirym za krytykę,
Od nowa —
w uszach Rady wata,
Od nowa —
„czuj duch” w biurakatach,
Od nowa —
kmostrzy
rączka w rączkę,
Od nowa —
gees *)
zapadł w śpiączkę,
Od nowa —
kant
wszedł z grandą w znowę,
I ja —
znow
w ramię wtulam głowę
Od nowa.
Słowem, kumie Bryto,
Wszystko jest u nas
tak, jak było!

*) G. S. — gminne spółdzielnie.

Adenauer czy skok w nieznane?

Dokończenie ze str. 1-iej z nich uważa za prawie główny cel życia: do pracy i jeszcze raz do pracy.

Po zwycięstwie wyborczym w r. 1953 Adenauer, który rządził dziś bez przerwy od 8 lat (co stanowi rekord w państwach demokratycznych Europy Zachodniej) jeszcze przyspieszył rytm swej polityki: nie szukając starcia z Rosją ani z państwami od niej zależnymi przystąpił formalnie do O.T.A.N., rozpoczął tworzenie armii włączonej do sił paktu atlantyckiego, odesłał Saarę kosztem Francji, rozszerzył się handel niemieckiego daleko na Azję, Afrykę i Amerykę, dał Niemcom pomyślność gospodarczą, jakiej nie mieli ani za Hitlera ani za Wilhelma II. Jowiálny, gruby minister Erhard w czasie kampanii wyborczej prawie nie wygłasza przemówień; mówi do wyborców: „Popatrzcie wokół siebie, na odbudowane domy i miasta, na niezwykłą pomyślność gospodarczą wszystkich wokół, na silę marki niemieckiej, dziś najmocniejszej waluty w Europie zachodniej, na wzrost zarobków robotniczych o wiele wyższy niż wzrost cen — a później możecie ocenić, czy socjaliści Ollenhauera mogą wam dać więcej, niż to, co dał Adenauer i chrześcijańska demokracja”.

Istotnie, wystarczyć porównać (choć zestawienie to tak bolesne dla każdego Polaka) obecny chaos gospodarczy i nędzę w Polsce pod rządami komunistycznymi z bogactwem Niemiec zachodnich, aby zrozumieć, że nie wszystko da się wytłumaczyć wszystkim Polakom przez Rosję czy nawet szaleństwami systemu komunistycznego, tak przeciwnego skłonnościom natury ludzkiej. Wiele zależy także od talentów, charakteru i wiedzy, ludzi rządzących państwami.

Cóż mogą przeciwstawić polityce Adenauera i Erharda socjaliści niemieccy? Położyli oni nacisk w propagandzie wyborczej na kwestię zjed-

Polskie Centralne Biuro Podróży

“EUROPA”

21 lat egzystencji

46. rue de Rivoli PARIS (4^e)

TELEFON: Archives 15-55 lub 21-21
Métro: Hôtel de Ville (sortie: Lobau)

Dyrekcja: Henryk Cywiński, b.długoletni Dyr.Pol.Biura Podr.,Lubin

BILETY: Kolejowe — Lotnicze — Okrętowe (na cały świat) (Aller i Aller-Retour).

REZERWACJA: Miejsce w pociągach zwykłych i Wagons-Lits.

WIZY: Zatwierdzenie wszystkich wiz tranzytowych „Aller-Retour”.

P.S. Prosimy przesyłać a conto 3.000 frs. na każdy zamówiony bilet.
Konto nasze C.C.P. 5183-68 — Paris.

Wytnij adres i daj przyjacielowi

Sto pięćdziesiąt lat temu

Dokończenie ze str. 1-iej bo przyjął propozycję Murat'a, albo usunąć się w cień i raz na zawsze zrezygnować ze służenia szablą ojczyźnie. Czynie mu wprawdzie świetne propozycje i cesarz Aleksander I rosyjski i król pruski i nawet Austria. Lecz Poniatowski nie ufał zaborcom, znał ich zbyt dobrze. Między nimi a nim nie mogło być nic wspólnego.

Czas naglił, Murat nalegał, książkę Józef „rozsądzał” się sam z sobą.

Wreszcie pewnego dnia zjawia się u Murat'a. Wacław Gąsiorowski, znany pisarz napoleoński, prześlizgnął i zgodnie z historią opisał tę scenę:

— *Mości książę* — mówi spokojnie, lecz dobitnie Poniatowski — *zechciej oświadczyć Jego Cesarzkiej Mości, że będę wiernym sługą...*

— *Ależ książę* — przerywa rycersko Murat, zdumiony tą nagłą pokorą — *sojusznikiem, przyjacielem raczej!...*

— *Nie* — mówi z tym samym spokojem i powagą Poniatowski. — *Będę wiernym sługą ziemi ojczystej.*

Słowa dotrzymał aż do śmierci. Raz powziąwszy decyzję, oddaje się całej pracy nad stworzeniem polskiej armii. Pracuje dniem i nocą, nie szczędzi sił, czasu, ani swej fortuny, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie brał swej pensji ministra wojny, ani generalskiej. Powstaje polska armia i jej pierwsze pułki walczą już w wielkiej bitwie pod Friedlandem, gdzie załamują się obie armie: pruska i rosyjska.

Nowe obowiązki księcia Józefa zatrzymują go w Warszawie. Wojskami polskimi dowodzi generał Dąbrowski. I jemu po „rzecim ataku” legii północnej — tak nazywano wojsko polskie — oddaje szpadę pruski generał Lestoque.

Armia rosyjska Benigsena walczyła zaciętej i dłużej. Właściwie Benigsen, najchytrzejszy i najostrońszy z dowódców tej armii, nie chciał walnej bitwy, bał się stawiać los swego wojska na jedną kartę; unikając rozprawy z Napoleonem, cofał się ku Królewcowi, ucieając się tylko z przednimi strażami francuskimi.

Lecz w Friedlandzie wpadł jakby w pułapkę. Zastał tam dziewięty pułk huzarów francuskich, i sądząc, że to oddział odosobniony, zaczął go wypędzać z miasta. Tego czekali Lannes, Oudinot i Mortier, aby natrzeć na Moskale. Benigsen, uważając, że posiada

przeważające siły, przyjął bitwę. Nie wiedział, że za lasami zakrywającym pole walki szły ku niemu, okrążając, kolumny wojsk francuskich. Napoleon cwałował i kierował wszystkim z daleka.

Dopiero około godziny piątej po południu uderzyły na armię pruską i rosyjską nowe armie francuskie. Artyleria generała Senarmont'a zaczęła zasypywać gradem pocisków szeregi Benigsena. Marszałkowie i generałowie francuscy nacierali z furją na wroga. Jednym z decydujących momentów bitwy był wspaniały atak marszałka Ney'a na gwardię rosyjską.

Walczone prawie do północy przy blasku pożarów. Dwudziestu pięciu generałów rosyjskich legło pod Friedlandem, armia Benigsena prawie przestała istnieć. Sam on cofał się z niedobitkami w stronę Królewca. Lecz po drodze ściga go miata i rwąc jeszcze jazda francuska Murat'a, zanim dotarł do Tyłży.

Ciekawy epizod tej bitwy dał znany pisarz epoki napoleońskiej, Wacław Gąsiorowski (1869-1939). Powieść nosi tytuł „Huragan”, gdyż jak huragan epoka owa przeszła ponad Europą i ponad Polską. Widzimy tam na placu boju trzy pokolenia jednej polskiej rodziny, Gotartowskich. Dziad, co jeszcze czasy Stanisława Leszczyńskiego pamięta, sędziwy „wolerarz”, ojciec, były konfederat barski, były legionista, i syn, młode chłopię, w półdziecko jeszcze; wszyscy trzej, ciężko ranni, odnajdują się na polu bitwy, między trupami i rannymi. I tak ich zobaczy tam Napoleon, objędzając tu pole Friedlandu w towarzysztwie marszałków i Dąbrowskiego. Zobaczy i raz jeszcze odda sprawiedliwość bohaterstwu polskiemu. Dziad i ojciec umierają, wnuk będzie dalej służył i walczył.

Dzień bitwy pod Friedlandem był rocznicą słynnej bitwy pod Marengo, innego wielkiego zwycięstwa Napoleona (1800). Prusy i Rosja prosiły o pokój. Zaczynały się układy, mające zakończyć się traktatem pokojowym w Tyłży, a dla Polaków — stworzeniem Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Nie było tu jeszcze imienia Polski, lecz mimo to po raz pierwszy od czasu trzech rozbiorów Polska wracała, znacząc swe istnienie na mapie Europy.

Dr Marya KASTERSKA

P. S. Powieść „Huragan” wydała

na nowo firma „Nasza Księgarnia” w Warszawie, w r. 1955, w „opracowaniu dla młodzieży”. Niestety, owo „opracowanie” ma powycinane w taki sposób rozmaite długie i krótkie ustępy, że chwilami czytelnik nie wie dobrze, o co chodzi? Można się zgodzić na wyrzucenie epizodu romantycznego pani de Vauban i Floriana Gotartowskiego, zresztą dość bladego i platonicznego, ale co mogłyby zaszkodzić młodzieży rozmowy księcia Józefa z Murat'em, historia jego wahań przed powzięciem ostatecznej decyzji, gdzie rozstrzyga gorączkowe mającenie chorego Floriana Gotartowskiego, albo wejście piechoty francuskiej z marszałkiem Davout do Warszawy.

Za to dodano do książki, z wyjątkiem przyjętym w Sovietach i w niektórych polskich wydawnictwach, t. zw. „posłowie”, zamiast przyjętej znowu w prawdziwej polskiej i europejskiej literaturze „przedmowy”. Autor „posłowia” — stanowczo jest przerażony polską szarżą pod Somosierrą i walką polskich pułków pod Saragossą. Wszystkiego tego narobili „polscy magnaci”. Dopiero „chwałą (bolszewicka) owiany” generał Karol Świerczewski, vel Walter, zmazał te winy polskich wojsk z 1808 r. Rzecz dziwna... Bo gdyby właśnie owi „magnaci” sądzili surowo żołnierzy polskich z 1808 r. za to, że idąc z Napoleonem narzucali niejako Hiszpanii zasady republikańskie, to ostatecznie miałyby to jakąś rację bytu. Ale ci dzisiejsi pseudo-republikanie i ten cudaczny generał, który chciał sam narzucić Hiszpanom jazmo sowieckie, i który pozostawił po sobie straszne wspomnienia w Hiszpanii? Gdzież tu logika? Czyż doprawdy autor „posłowia” uważa dzisiejszą młodzież polską za tak beznadziejnie niemądrą, że nie potrafi ona wyciągnąć z tego wszystkiego odpowiednich wniosków? Co do mnie, mam o niej lepsze wyobrażenie.

Należy zauważyć, że książka jest wcale nieźle oprawna i ilustrowana rysunkami p. Ludwika Maciaga.

Wiśłd Nowosad

M. K.

Z ŻYCIA POLONIJ BELGIJSKIEJ

TERPNIOWY obchód bitwy pod Caen-Falaise na emerytalnym i Dywizji Pancernych w Langannercie w Normandii, która ma być dowodem na ich odwagę i odwagę, którą przeżyli w czasie wojny. W niedzielę od rana zaczęły się gromadzić przed wejściem na cmentarz tamy. Liczne przybyły przed starcie obojętnej gmin, zaszedł tamtejszy polski batalion, który walczył w bitwie pod Falaise. W niedzielę od rana zaczęły się gromadzić przed wejściem na cmentarz tamy. Liczne przybyły przed starcie obojętnej gmin, zaszedł tamtejszy polski batalion, który walczył w bitwie pod Falaise.

MIESIĄC INWALIDY

Wobec lat ubiegłych, polski związek inwalidów woj. we Francji uzyskał sukcesy. Wobec lat ubiegłych, polski związek inwalidów woj. we Francji uzyskał sukcesy. Wobec lat ubiegłych, polski związek inwalidów woj. we Francji uzyskał sukcesy.

MALEPSZA POMOC DLA KRAJU
Przez firmę HASKOBA LTD.
121, Earls Court Rd., London S.W. 5, England.
Lekturę są wolne od cła.
Zgłoście i materialnie — cło upłynie.
Katalogi wysyła na żądanie oraz przyjmie zamówienia.
20, rue Legendre, Paris 17.

OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
TADEUSZ NOWAKOWSKI
JEDYNA W PARYŻU
Kierowana przez b. Kombatantów
ZALAZ. 1929
ROK
16, rue des Boucheries, ST-DENIS (Seine). — Tel. PLA 05-54
POLSKA FARBKA WÉDLIN W PARYŻU
Kierowana przez b. Kombatantów
ZALAZ. 1929
ROK
16, rue des Boucheries, ST-DENIS (Seine). — Tel. PLA 05-54
POLSKA FARBKA WÉDLIN W PARYŻU
Kierowana przez b. Kombatantów
ZALAZ. 1929
ROK
16, rue des Boucheries, ST-DENIS (Seine). — Tel. PLA 05-54

W 13-tą rocznicę bitwy pod Falaise

W dniu 18 sierpnia br. w sali Inwalidów w Londynie odbył się obchód 13-tych rocznic bitwy pod Falaise. W dniu 18 sierpnia br. w sali Inwalidów w Londynie odbył się obchód 13-tych rocznic bitwy pod Falaise.

Przed zjazdem PPS

W dniu 28 do 29 września odbył się w Londynie zjazd PPS. W dniu 28 do 29 września odbył się w Londynie zjazd PPS.

KANCELARIA PRAWNA S. OLSZICKI
106, RUE JOUFFROY — PARIS 17
Métro: WAGRAM. — Tel.: WAGRAM 88-91
Tłumaczenie przysięgłe przy sądach francuskich
Wszelkie sprawy sądowe, cywilne i karne we Francji i w Polsce
Pismo oświadczenia
Métro: Villiers, Monceau, Malesherbes
Autobus: 30, 31 i 94
Métro: Villiers, Monceau, Malesherbes
Autobus: 30, 31 i 94
Métro: Villiers, Monceau, Malesherbes
Autobus: 30, 31 i 94

Biurowa Prawna
D. DOMOJNA-BIENAIMÉ
Przysięgły
34, rue de Valenciennes, 34, Paris 9
Métro: St-Michel, Pont-Neuf, Mairie, Maudern
Tel.: ODON 41-17
PARIS 5
23, Quai de la Tournelle, 23
Sądzie Apelacyjnym w Paryżu
przy Sądzie I-szej Instancji i Sądzie Apelacyjnym w Paryżu
M. Giezier, sekretarz
Za Zarząd:
MONTBELLARD, — Zw. Rez. i b. Wojskowych Koto Montbellard podaje wiadomości o sędziach i sędziach w Paryżu, że zebrał mieszczkę pod walecznym i lepszym był dla siebie i swych rodzin i pięknie walczył w walce z Niemcami, że zebrał mieszczkę pod walecznym i lepszym był dla siebie i swych rodzin i pięknie walczył w walce z Niemcami.